

Marion Lennox

Powrót na wyspę

Tytuł oryginału: Miracle on Kaimotu Island

## PROLOG

Nikt nie wiedział, ile lat ma Squid Davies. Mało który z mieszkańców wysepki Kaimotu pamiętał go jako dziecko.

Teraz Squid rezydował w szopie za beczkami po oleju, za zabudowaniami portowymi, w miejscu osłoniętym od wiatru, skąd mógł obserwować port i łodzie. Tam też gawędził z każdym, kto chciał go słuchać. A miał o czym opowiadać.

- Chłopcy, dzisiaj będzie spokojnie. - Wówczas rybacy wyprawiali się na najbardziej odległe łowiska. Albo: - Pod wieczór zaczniesz wiać.

Na co komu oficjalne prognozy? Tego dnia jeszcze przed zmierzchem wszystkie łodzie były z powrotem w porcie. Tym razem...

- Będzie źle, będzie trzęsło gorzej niż wtedy, kiedy mój ojciec był smarkaczem - wieszczył ponuro. - Pamiętam słowa dziadka i teraz jest tak samo. Pohutukawa zakwitła po raz drugi, burzyki ciągle wodzą młode, chociaż już powinny je zostawić, a fale zalewają plażę od północy. W kwietniu wiatr nie wieje z tego kierunku. To nienaturalne. Mówię wam, ziemia się przechyliła w 1886, a teraz będzie jeszcze gorzej.

Brednie, powtarzali sobie poirytowani mieszkańcy wyspy. Dwa tygodnie wcześniej ziemia rzeczywiście lekko zadrżała, ale sejsmolodzy uspokajali, że wstrząsy się nie powtórzą. Mimo to Squid wiedział swoje.

- Aureola wokół księżycyca... Nawet ostrygojady trzymają się lądu - recytował. Miejscowi mieli ochotę popukać się w czoło, ale jakoś im to nie wychodziło. Ostatni turyści pod byle pretekstem skracali pobyt na wyspie, a nowa lekarka, bardzo przesądna, uznała, że jednak nie ma ochoty osiedlić się na Kaimotu.

- Przestań - powiedział Squidowi Ben McMahon, jedyny lekarz na wyspie. - Wypłoszyłeś z wyspy zadaną lekarkę.

Straszysz i swoich, i turystów. Już lepiej, żebyś przepowiadał pogodę.

- Mówię, co czuję - odparł z kamiennym spokojem staruszek, wpatrując się w horyzont. - Będzie katastrofa. Jak amen w pacierzu.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przepowiednia trzęsienia ziemi. Histeria. Jeden lekarz na wyspie. Doktor McMahon miał pełne ręce roboty. Nie wystarczało mu dnia, by przyjąć wszystkich, którzy czekali pod gabinetem. W przychodni panował chaos.

Jednak na Kaimotu był jeszcze drugi lekarz, Guinevere Koestrel, ale już wcześniej go poinformowała, że zerwała z praktyką. Do tej pory szanował jej decyzję, ale w obliczu proroctwa Squida czuł, że będzie jej potrzebował.

Znowu? Po raz ostatni zwrócił się do niej z prośbą w wieku siedemnastu lat. Przykląkł przed nią na kolano, by uwielbianej kobiecie oddać serce.

Przyjaźnili się od dziecka, odkąd jej rodzice kupili tu winnicę. Wówczas jego matka była zatrudniana do opieki nad Ginny. Razem włóczyli się po wyspie, razem łowili ryby, pływali, surfowali, kłócili się, bronili przed innymi. Ale tamtego lata dały o sobie znać hormony. Ginny miała na sobie piękną suknię kupioną przez jej zamożnych rodziców na bal sylwestrowy, on zaś źle leżący garnitur pożyczony od kolegi z sąsiedztwa. Na jej widok oniemiał.

Różnice społeczne są głupie, uznał siedemnastolatek, gdy nagle poczuł, że muszą być razem do grobowej deski. Przekonywał ją, że nie musi studiować medycyny w Sydney. On również zamierzał zostać lekarzem. W Auckland też jest wydział medycyny, który przyznał mu stypendium. Jak będzie pracował wieczorami, to sobie poradzi. I Ginny może z nim pojechać do Auckland.

Ale siedemnastoletnia Ginny tylko się uśmiechnęła i stwierdziła, że chyba zwariował. Jej miejsce jest w Sydney, a maleńka nowozelandzka wysepka Kaimotu to dla niej i rodziców jedynie miejsce wakacyjne. Poza tym nie zamierzała wychodzić za mąż za człowieka, który nazywał ją Marchewką.

To się wydarzyło dwanaście lat temu. Ben puścił w niepamięć upokorzenie, jakie go wtedy spotkało, a teraz musiał się do niej zwrócić ze znacznie bardziej istotną sprawą. Był na wyspie od pół roku i chociaż bez ogródek oznajmiła, że chce być sama, była lekarzem, a Kaimotu potrzebuje lekarza. To dlatego mimo emocji, jakie poruszył w nim jej widok, znowu musiał ją prosić.

- Ginny, jesteś mi potrzebna.

Nie spodziewał się pozytywnej reakcji. Ginny stała wśród krzewów winorośli uzbrojona w spryskiwacz, spoglądając na Bena jak na intruza.

- Ben, przykro mi, ale nie mam zamiaru wracać do zawodu. Nie pojawię się w przychodni. Poza tym jak nie zrobię tego oprysku, wda się mączniak, więc wybacz...

Spryskiwanie nie szło jej najlepiej, więc zdjął jej z pleców pojemnik i z wprawą skierował spryskiwacz tak, że mgiełka preparatu opadła prosto na liście.

- Szczepienia to moja specjalność - zauważył, czując, że i jego emocje opadają. - Dobry krzaczek - przemówił do winorośli. - Wcale nie bolało, prawda? Jak za rok dasz obfity plon, to ta dobra pani doktor da ci dużo smakowitego kompostu. - Uśmiechnął się do zaskoczonej Ginny. - Marchewko, tak trzeba się do nich zwracać. Nie uczono cię tego na twoich wypasionych studiach?

Ginny poczerwieniała.

- Ben, przestań! I nie nazywaj mnie Marchewką. Nie zauważyłeś, że to jest odcień tycjanowski? - Poprawiła frotkę na końskim ogonie.

- Niech będzie Ginny.

- Ginny też nie. I zapamiętaj, jestem farmerem, nie lekarzem.

- Gwizdzę na to, kim jesteś. - Uznał, że jeśli ma być skuteczny, musi się postarać o rzeczowy ton. - Masz dyplom

ukończenia medycyny, a mnie jest potrzebny właśnie lekarz. Przez rok szukałem lekarza rodzinnego na miejsce Rega. Doktor Catherine Bolt wydawała się sensowna, ale po pierwszym wstrząsie dała nogę do stolicy.

- Nie żartuj.

- Nie żartuję. - Przypomniała mu się ulga, z jaką witał Catherine, oraz przerażenie, gdy wyjechała. Został sam. - Ten archipelag trząsł się nie raz i nie dwa, ale Squid przyjął rolę zwiastuna końca świata. Bez żadnych naukowych dowodów opowiada o drzewach, które nie powinny teraz kwitnąć, o dziwnych zachowaniach ptaków, falach zalewających nie tę plażę... Jest w tym staruszkowi coś, co miejscowym każe wierzyć w jego słowa. Nie dość, że jego gadanie wystraszyło z wyspy lekarkę, to teraz połowa Kaimotu ściąga do przychodni po recepty, żeby zaopatrzyć się w leki, które pomogą im przetrwać apokalipsę. Uśmiechnęła się nieznacznie.

- I chcesz mieć mnie pod ręką na okoliczność końca świata?

- Nie ma dowodów na to, że czeka nas poważne trzęsienie ziemi - ciągnął - ale ludzie są w hysterii. Ginny, proszę, pomóż mi.

- Nie, Ben, przepraszam.

- To po co poszłaś na medycynę, jak nie chcesz praktykować?

- To moja sprawa.

To nie ta sama kobieta, której się oświadczył. Nic dziwnego. Matka opowiedziała mu w skrócie to, co wyciągnęła od powracającej Ginny. Tragiczny koniec związku, ale...

Nie wiadomo dlaczego jego wzrok padł na frotkę, którą ściągnęła włosy. Frotka? Panna Koestrel i frotka?!

Gdy widział ją po raz ostatni, była piękną dziewczyną, tryskającą energią. Nie mogła się doczekać, kiedy zacznie

studiować medycynę. Taka pozostała w jego pamięci. Pani Koestrel bardzo dbała o wygląd, więc spodziewał się, że Ginny pójdzie w jej ślady.

Nic podobnego. Ginny związuje włosy gumką. Co gorsza, sprawia wrażenie... ponurej. Przygaszonej. Wygląda staro? Nie ma jeszcze trzydziestki. Zniszczyła ją śmierć kochanej osoby? Czy taka śmierć może zniszczyć komuś życie?

- Ginny...

- Nie! Przyjechałam tu, żeby uprawiać winorośl.

- Już dawno po winobraniu.

- Nie szkodzi. Spryskuję przeciwko... czemuś, o czym mówił Henry. Jak skończę, wezmę się za przycinanie. Henry uznał, że czas iść na emeryturę. Żeby go zastąpić, muszę się wszystkiego nauczyć. Wybacz, Ben, już nie jestem lekarzem. Zostałam producentem win. Życzę powodzenia w szukaniu kogoś, kto ci pomoże. - Zawahała się, bo na podjazd wjechał samochód.

Pewnie jej znajomi z Sydney, pomyślał Ben. Ale nie jest ubrana na przyjęcie gości.

- Kogo tu przyniosło? - wycedziła przez zęby, odbierając od niego pojemnik. - Sprowadziłeś posiłki? Nie widzisz, że mam co robić?

- Nie mam z tym nic wspólnego - zastrzegł się, obserwując, kto wysiada z auta. Facet wyglądał jak biznesmen. Rozejrzał się po zapuszczonej winnicy, po czym wyjął z bagażnika okazałą walizkę, a następnie otworzył tylne drzwi i wyciągnął... dziecko.

Dziewczynka miała około czterech, pięciu lat.

- Guinevere Koestrel? - zawołał. - Richard Harris z kancelarii Harris, Styne i Wilkes z siedzibą w Sydney. Spodziewała się pani mnie? Albo dziecka?

Ginny osłupiała.

- T... tak... - wykrztusiła - ale jeszcze nie teraz.

Mężczyzna i dziecko podeszli bliżej. Zespół Downa, pomyślał Ben. Charakterystyczne rysy twarzy. Dziewczynka była bardzo ładnie ubrana, a na głowie miała śliczną różową kokardkę. Ale Ben widział tylko cechy zespołu Downa. Zerknął na Ginny. Widząc, że zrobiła się blada jak płótno, wziął ją za rękę, a ona ścisnęła ją mocno niczym tonący.

- Nie oczekiwałam pana - odezwała się. - Myślałam, że... to będzie się ciągnęło kilka miesięcy. Procedury prawne...

- Nasza klientka była gotowa pokryć wszystkie koszty, żeby wyjechać do Europy - wyjaśnił. - Wysyłaliśmy do pani e - maile, ale pani nie reagowała, a nie mieliśmy numeru telefonu. Nasza klientka w miniony piątek udała się do Europy, więc nie mieliśmy wyboru, jak tylko przywieźć małą do pani. - Przeniósł wzrok na dziewczynkę. Sądząc po wyrazie jego twarzy, Ben wyobraził sobie, ile musiało kosztować przekonanie go, by się podjął takiego zadania. Bez wątplenia krocie.

- Już nie sprawdzam e - maili - powiedziała cicho Ginny. Prawnik spojrział na nią z pogardą. Kobieta, która nie sprawdza poczty? Chyba tak samo upośledzona na umyśle jak to dziecko.

- Nieważne - otrząsnął się. - Najbardziej się bałem, że pani nie odnajdę, ale skoro już pani jest, to oficjalnie ją pani przekazuję. Z dokumentów, które do pani wysłaliśmy miesiąc temu, wynika, że zgadza się pani zostać jej opiekunem. Jej matka jest już w Europie. Zgodnie z jej poleceniem przekazuję dziecko w pani ręce.

Pchnął dziewczynkę w stronę Ginny. Dziewczynkę w różowej sukience, różowych sandałkach i z obojętnym wyrazem twarzy. Gdyby nie zespół Downa, zalewałaby się łzami, pomyślał Ben, ale wiedział o tym schorzeniu wystarczająco dużo, by wiedzieć, że płacz to ostateczność.

- Ojej... - szepnęła Ginny, więc wzmocnił uścisk.



- Ginny, co jest grane? O co tu chodzi?

- Ja... To jest... - Bezradnie spojrzała na prawnika. - Niech pan mu powie. Proszę, niech pan powie Benowi.

Prawnik odetchnął z wyraźną ulgą.

- Mała nazywa się Barbara Carmody - zaczął, nawet nie spoglądając na dziewczynkę. - Jest owocem pozamałżeńskiego romansu mojej klientki ze świętej pamięci małżonkiem doktor Koestrel. Matka wychowywała ją razem z pozostałymi swoimi dziećmi, ale niestety, jej mąż zorientował się, że to nie jego dziecko. Odrzucił je, małżeństwo się rozpadło, a pani Carmody poleciała do Europy.

- Rodzice ją porzucili? - zapytał Ben zdumiony.

- Jest materialnie zabezpieczona. Świętej pamięci małżonek pani Koestrel zrobił na jej rzecz stosowny zapis w testamencie. Są też instytucje, które chętnie się nią zaopiekują. Z polecenia pani Carmody skontaktowaliśmy się z doktor Koestrel, żeby odpowiednio wydała te środki, ale zamiast tego doktor Koestrel zgodziła się zostać jej prawnym opiekunem. Wszystkie dokumenty są w tej walizce. Gdyby chciała się pani skontaktować z matką, może to pani zrobić za naszym pośrednictwem. Będę zobowiązany, jeśli podpisze pani te dokumenty i odeśle je na nasz adres. Państwo wybaczą, ale nie mogę spóźnić się na prom. Życzę miłego popołudnia. - Ruszył w stronę samochodu.

Facet chce odjechać, zostawiając dziecko. Nie. Ben podbiegł do auta i zatrzasnął drzwi, które prawnik już otworzył, zasłaniając je swoim ciałem.

- Porzucenie dziecka jest przestępstwem - oświadczył, spoglądając na Ginny i na dziewczynkę, które stały bez ruchu.  
- To musi przejść przez sąd...

- Spóźnię się na prom. Doktor Koestrel już podpisała najważniejsze dokumenty. Resztę załatwimy później.

- Nie może pan porzucać dziecka, bo się pan spóźni na prom. - Ben splótł ramiona na piersi. Nie mógł zrozumieć, co się stało, ale czuł, że musi usłyszeć wyjaśnienie.

- Doktor Koestrel zgodziła się ją wziąć. Nikogo nie porzucam.

- To... jak to było? Barbara jest dzieckiem z nieprawego łoża jakiejś kobiety i... męża Ginny? Ginny, możesz mi to wytłumaczyć?

- Zaczekaj. - Popatrzyła bezradnie na dziewczynkę, ale Ben wyczuł, że powoli otrząsa się z szoku. Odetchnęła głęboko, wzięła dziewczynkę za rękę i poprowadziła tam, gdzie rosły pomidory, a na ziemi leżał wąż ogrodniczy.

- Barbara, daj tym pomidorom pić, a my przez ten czas porozmawiamy.

Na widok węża i rozpryskującego się strumienia wody na twarzy dziewczynki pojawił się cień uśmiechu. Cokolwiek się z nią ostatnio działo, pomyślał Ben, mała powinna się odprężyć, a Ginny jej to umożliwiła.

- James zmarł pół roku temu na chłoniaka nieziarniczego.  
- Ginny przeniosła wzrok na dziewczynkę z wężem ogrodowym. Wyraźnie szukała słów.

- Co pan wie o tym dziecku? - dopytywał się Ben. Nie mógł patrzeć na tego bezdusznego faceta w eleganckim garniturze, ale wiedział, że musi się kontrolować. Potrzebował faktów. - Jak brzmi jej pełne nazwisko?

- Już mówiłem... Barbara Louise Carmody. Wszystko jest w jej walizce. Proszę mnie przepuścić - warknął.

- Ginny... - Ale ona nie patrzyła ani na niego, ani na prawnika.

- To... to dziecko doprowadziło mnie do rozpacz - powiedziała cicho, a on doznał olśnienia.

Jej mąż splodził dziecko z inną. Straciła go, a teraz zмага się ze zdradą i stratą. Jak ktoś mógł oczekiwać, że zaakceptuje

to dziecko? Jak ona może na nie patrzeć? Mimo to zareagowała na nie z instynktowną opiekuńczością. Tak małe dziecko z zespołem Downa, zajęte podlewaniem pomidorów, zapomni o okrutnych słowach. Ale... powiedziała, że ją weźmie. Na zawsze?

- W jej walizce są dokumenty medyczne? - zapytała bezbarwnym tonem.

- Oczywiście. Znajdzie tam pani wszystko.

- Wiedziałaś, że ona ma Downa? - Ben zwrócił się do Ginny.

- Tak. Przepraszam, powinnam być lepiej na to przygotowana - odrzekła. - Niech pan już jedzie. Ma pan rację, dokumenty mogą poczekać. Dziękuję, że ją pan przywiózł. Szkoda, że nie przeczytałam tych e - maili, ale mimo to wolę, żeby była ze mną niż w jakiejś placówce opiekuńczej.

Gdy przykucnęła, biorąc dziewczynkę za rękę, Ben ujrzał, jak wraca dawna Ginny. Jego odważna zabawna Ginny, która stawia czoło przeciwnościom losu.

- Byłam żoną twojego... taty. To znaczy, że jestem twoją macoszka. Teraz ja będę się tobą opiekować. Będiesz mieszkać ze mną. Bo ktoś musi mi pomagać w ogrodzie. Może nawet będziemy się bawić. Mnie to odpowiada i mam nadzieję, że i tobie się spodoba.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ben życzył im tego samego. Prawnik tymczasem wsiadł do auta, a wkrótce potem szum jego silnika ucichł w oddali. Gdzieś świergotał ptak, morze połyskiwało w blasku słońca, w zaroślach szeleścił ciepły wietrzyk.

Jej świat się rozpadł, pomyślał Ben, i teraz jest rozkawałkowany. Jednak nie teraz doszło do tego rozpadu> a w przeszłości, o której nic nie wiedział.

Przez lata nie miał z nią kontaktu. Matka przekazała mu jedynie skrawki informacji, którymi Ginny się z nią podzieliła, powróciwszy na Kaimotu. Otworzył walizkę Barbary, by przejrzeć zawartość. Jeśli nie znajdzie dokumentów medycznych, zdąży zapobiec wyjazdowi prawnika z wyspy. Znalazł jednak teczkę z dokładnym opisem choroby, historią rodziny, adresem matki, a nawet numerem telefonu przedszkola, do którego Barbara uczęszczała. Być może nie była kochana, ale na pewno bardzo o nią dbano, pomyślał ponuro. Jak oni mogli ją porzucić?

- Trisomia mozaikowata - powiedział na głos, przerzucając kartki.

To znaczy, że do wadliwego podziału chromosomów doszło po zapłodnieniu, więc w organizmie dziewczynki są także komórki o prawidłowej budowie.

Adopcja dziecka to ogromne wyzwanie, ale dziecka z zespołem Downa wymaga jeszcze większej odwagi...

Dziewczynka skupiła się na podlewaniu pomidorów, więc mogli swobodnie porozmawiać.

- Ginny, jesteś pewna? - zapytał, nie kryjąc niepokoju. - Jeszcze mogę go zatrzymać.

- A co dalej? - Pokręciła głową. - Przepraszam, nie mogę się otrząsnąć. Wiedziałam, że tak się stanie. I wyraziłam zgodę. Nawet jeśli stało się to wcześniej, niż się spodziewałam, chcę się nią zaopiekować.

- Nikt nie może cię do tego zmusić.

- Nie może, ale ja się nią zajmę. Veronica i James postąpili skrajnie egoistycznie, ale ta mała nie może na tym ucierpieć. Śmierć Jamesa zwróciła mi wolność, a Barbara też ma prawo do wolności. Nie spędzi życia w placówce dla niepełnosprawnych.

Świat Ginny stanął na głowie. A świat Barbary? Nie odzywała się, ale też nie sprawiała wrażenia smutnej. Cierpliwie lała wodę na warzywa, czekając na to, co ją czeka. Zespół Downa...

Tak, takie dzieci uczą się wolniej, rzadko osiągają średni poziom rozwoju intelektualnego, ale z drugiej strony jego pacjenci z Downem zawsze byli przyjacielscy, bezinteresowni i łatwiej było ich uszczęśliwić. Podszedł do dziewczynki.

- Cześć - powiedział - jestem doktor Ben. - Jako dziecko chore powinna być oswojona z lekarzami. Miał nadzieję, że przedstawiając się jako lekarz, sprawi, że sytuacja wyda się Barbarze mniej obca.

Miał rację, bo na niego spojrzała. Ale nie na jego twarz, tylko na kieszonkę koszuli.

- Masz żelki? - zapytała z nadzieją w głosie, a on się uśmiechnął. Pewne rzeczy są uniwersalne.

- Oczywiście. - Wyjął z kieszonki żółtego żelka. Dziewczynka przyjęła go z powagą, nadal mu się przyglądając. Zastanawia się, czy dostanie więcej? - Barbaro, lubisz żelki? - zapytał.

- Nie... nie Barbara.

- Nie masz na imię Barbara?

- Nie! - Zasmuciła się, po czym popatrzyła na swoją różową sukienkę, odłożyła węża i chwyciła za jeden z guziczków w kształcie kulki. - Bąbelek.

- Bąbelek? - powtórzył, a ona się rozpromieniła. Pewnie któraś opiekunka uznała, że imię Barbara nie pasuje do takiego małego dziecka.

- Bąbelek.

- Masz na imię Bąbelek - szepnęła Ginny, a na jej twarzy Ben wyczytał złość. Prawdziwą złość na wiarołomnego męża i jego Veronikę. Obserwował, jak jej rysy stopniowo się wygładzają. - Bąbelku, twoja mama przysłała cię do mnie, żebym się tobą opiekowała. Zostawmy pomidory. Chcesz się napić lemoniady?

- Tak - odpowiedziała dziewczynka.

Ginny się zawahała.

- Nic nie mam - westchnęła. - Prawdę mówiąc, spodziewałam się jej za miesiąc. Nie wiem...

Ben wstał i otrzepał nogawki. Ma obowiązki. I to one go tu sprowadziły. Miał przekonać Ginny, by znowu została lekarzem. Nic z tego, a w przychodni czeka na niego co najmniej dwudziestu pacjentów.

- Zabierz ją do domu i daj jej pić. Przejrzyj jej rzeczy. Jak się zorientujesz, czego ci brakuje, przyjedź do przychodni, żebym ją porządnie zbadał.

- Sama mogę to zrobić.

- Nie wątpię. Zapomnijmy o badaniu. Ale nasza pielęgniarka Abby ma pięcioletnie dziecko. Mama takiego urwisa może ci udzielić paru porad albo pożyczyć coś, czego nie masz. Mam w aucie fotelik dla dziecka. Czasami się przydaje do transportu małych pacjentów. Zostawię ci samochód, żebyś mogła zabrać małą. Poproszę Abby, żeby zorganizowała dla was fotelik z naszej wypożyczalni.

- Dziękuję...

Obłąd. Zalała go fala uczucia, o którym myślał, że poszło w zapomnienie.

- Ginny, jesteś pewna? - zapytał. - Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym zadzwonił do Boba, naszego policjanta, z prośbą, żeby ściągnął tego prawnika z promu?

Patrzyła mu w oczy tak, jakby tam znalazła źródło energii.

- Nie, poradzę sobie. Muszę. Nie mam wyboru. Bąbelek też nie ma wyboru. Dziękuję za pomoc.

- Przywieziesz ją do przychodni?

- Tak - odparła po chwili wahania.

- Jesteś niesamowita. Uśmiechnęła się blado.

- Przepraszam, ale w tej chwili nie mam ochoty na nagrody za dobre zachowanie. Mimo to jestem ci bardzo wdzięczna. Zjawię się w przychodni, jak uznam to za konieczne. Dzięki, Ben, i do widzenia.

Gdy patrzyła za nim, ogarnął ją... beznadziejny smutek. Ten stan towarzyszył jej od pół roku. Albo i dłużej. Kiedyś jej życie jedynaczki rozpieszczanej przez bogatych rodziców było poukładane, a ona inteligentna i pewna siebie. Poza jednym potknięciem: gdy zakochała się w Benie McMahonie. Był wspaniały, ale miał jedenaścioro rodzeństwa i był synem niani. Jako siedemnastolatka już nie potrzebowała opiekunki, ale z Benem nadal się przyjaźniła. Mimo to tę pierwszą miłość, pierwsze pocałunki traktowała jak ucieczkę od rzeczywistości.

Jego oświadczenia zmusiły ją do zadania sobie pytania, czy ich światy mogą się połączyć. Czowała, że nie, a ojciec uświadomił jej to bez owijania w bawełnę. Rzeczywista była ambicja wpojona jej przez rodziców. Prawdziwa rzeczywistość to krąg, do którego weszła, uczęszczając do ekskluzywnej szkoły. Potem medycyna, studia, elita, w której się obracała dzięki rodzicom, a na koniec James, małżeństwo, awans zawodowy...

Jednak jeszcze zanim wykryto u Jamesa chłoniaka, czowała, że coś jest nie tak. Albo zawsze było nie tak, a ona wmawiała

sobie, że jest inaczej. Potem umarł ojciec. Nagle. Na zawał. Podczas pogrzebu obserwowała matkę, która nie uroniła ani jednej łzy.

Tego samego wieczoru James musiał wyjść.

- Robota czeka - powiedział, symbolicznie całując ją w policzek. - Idź do łóżka, skarbie, i sobie popłacz.

Nie płakała. Rozmyślała. Czuła to, ale nie chciała się z tym konfrontować.

- Lemoniada czy woda z syropem truskawkowym? - zwróciła się do Bąbelka. Posadziła dziewczynkę przy stole i postawiła przed nią dwie szklanki. Bąbelek się zastanawiał, aż w końcu wybrał napój czerwony. Gdy dziewczynka sapnęła z ulgą, Ginny prawie się uśmiechnęła. Prawie.

Bo myślami była w dniu pogrzebu Jamesa. Ta ceremonia zamykała piekielnie trudny okres w jej życiu, kiedy robiła wszystko, co w jej lekarskiej mocy, by utrzymać go przy życiu, a mimo to go nie uratowała. Był zły przez cały czas choroby. Zły na swój organizm, który go zawiódł, na lekarzy, którzy byli bezradni, ale najbardziej na Ginny, bo on był chory, a ona zdrowa.

- P.....się, Florence Nightingale! - Ten bluzg to jego ostatnie słowa.

Gdy stała nad jego grobem, było jej niedobrze. Przenikał ją chłód, wypełniała pustka. Potem podeszła do niej Veronica, żona szefa Jamesa. Obejmując ją, szepnęła:

- Nie straciłaś go, bo nigdy nie był twój. Ty i mój mąż byliście tylko rekwizytami w naszym życiu. Pełnym radości i fantazji, prawdziwym życiu. - Po czym odsunęła się, nakładając z powrotem maskę żony szefa Jamesa, a Ginny pomyślała, że te słowa to wytwór jej wyobraźni.

W końcu przeczytała testament Jamesa. „Moją córkę Barbarę powierzam opiece mojej żony Guinevere...”



Przypomniała się jej rozmowa, która miała miejsce na tydzień przed jego śmiercią. Odniosła wtedy wrażenie, że James majaczy.

- Dzieciak. On myśli, że to jego. Jak się dowie... zrobię, co należy. Ten bachor powinien się znaleźć w jakimś zakładzie. Ty to dla mnie zrobisz. Wiem, że to zrobisz... Ty zawsze robisz, co należy. Kretynka.

Po raz drugi napełniła szklankę Barbary. Guinevere zawsze robi, co należy. Guinevere jest kretynką?

- Guinevere to nie ja. Ja to Ginny - powiedziała. Biorąc Bąbelka, nie zrobiła tego dla Jamesa ani dla

Veroniki, dla nikogo. To jest tylko między nią i Bąbelkiem. Razem pójdą przez życie.

- Ginny - rzekła dziewczynka, wsłuchując się w brzmienie tego imienia.

Ginny przysiadła obok. Ginny i Bąbelek. Takie same? Dwie istoty wytracone ze swoich światów?

Jej nikt nie wytrącił, sama zrezygnowała z medycyny i sama opuściła Sydney. Ojciec zostawił jej winnicę, więc nic dziwnego, że osiadła akurat tutaj.

Ben. Dla niego tu wróciła? Tyle wspomnień...

Miała osiem lat, kiedy matka wysadziła ją przed domem jego rodziców.

- Guinevere, dzisiaj zajmie się tobą ta kobieta, bo my z ojcem jedziemy pograć w golfa. Bądź grzeczna.

Matka Bena serdecznie ją przytuliła.

- Wchodź, kochana. Witaj w naszej menażerii.

Gdy znalazła się w zatłoczonej kuchni, Ben stał przy kuchni, prażąc kukurydzę. Gdy zdjął pokrywkę, popcorn wystrzelił na wszystkie strony ku radości ludzi i psów. Ben uśmiechnął się do niej.

- Umiesz robić popcorn? Chcesz spróbować? Chyba wszystko pożarły psy. Potem zabiorę cię na kijanki.

- Na kijanki?

- Będziemy łapać kijanki - wyjaśnił z błyskiem w oku. -  
Ech, ty jesteś miastowa.

Pomimo tego co działo się potem, a może właśnie dlatego, stali się nierozłączni.

Nie, nie wróciła z powodu Bena. Ale może na tym polegał urok tej wysepki. Na bezwarunkowej akceptacji. Bo tutaj mogła w spokoju lizać rany. Zastanowić się, co dalej robić. Hodować winorośl? Z Bąbelkiem.

- Chodź, przygotujemy dla ciebie pokój.

- Ja chcę Małpiszona w pokoju.

Małpkę? Hm. Ginny zajrzała do walizki. Sukienki, piżamki, majtki, skarpetki, pudełko z napisem „Leki”, buty, kurteczki. Małpki nie ma.

Przypomniała sobie, jak lata temu, przed wyjazdem na Kaimotu, matka z przyganą patrzyła, jak mała Ginny wkłada do torby ukochanego misia Barneya.

- Zostaw tego kocmołucha w domu, Guinevere. Masz ładniejsze zabawki.

- Chcę Małpiszona - szepnął Bąbelek smutno.

No cóż, pomyślała Ginny, Bąbelek nie potrafi jak ona walczyć o swoje. Pomimo niezadowolenia matki Barney towarzyszył jej na Kaimotu do dnia, w którym zginął, tragicznie rozszarpany przez któreś ze szczeniąt Bena.

Tak, od tej chwili to na nią spada obowiązek walki w imieniu Bąbelka, którego nikt nie chciał. Postąpiła słusznie, może nawet szlachetnie, a Veronica i James haniebnie. Musi to naprawić. Sama?

Dobrze, że Ben był przy tym, jak prawnik przywiózł Bąbelka. Szkoda, że teraz go nie ma. Wiedziałby, jak sobie poradzić z brakiem Małpiszona.

Nie marudź, sama sobie poradzisz.

- Chyba zostawiłaś go w domu. Spróbuję poszukać kogoś, kto go nam przyśle, ale teraz... zjemy lunch, a potem pojedziemy do doktora Bena. Tutaj nie ma żadnej małpki, ale u doktora może coś się znajdzie.

Mówił jej, że przychodnia pęka w szwach, ale nie miała pojęcia, że do tego stopnia. Ludzie tłoczyli się w poczekalni, a kolejka ciągnęła się przez cały korytarz.

Epidemia? Ale mało kto wyglądał na chorego, większość wręcz tryskała zdrowiem.

Gdy podchodziła do recepcji, otworzyły się jedne z drzwi i z gabinetu wyszedł Ben, a za nim pielęgniarka.

Ben. Przyszedł prosić ją o pomoc, a zamiast tego pomógł jej. Była mu bezgranicznie wdzięczna za to, że wziął na siebie rozmowę z prawnikiem. Teraz musi przyjąć ponad dwudziestu pacjentów, a do pomocy ma ewidentnie zmęczoną pielęgniarkę.

Lata temu wydawało się jej, że go kocha, bo był jej przyjacielem, pięknie surfował i był... słodki.

Teraz nie powiedziałby, że jest słodki. Był wysoki, smukły, muskularny. Miał ciemne włosy spłowiałe na słońcu i oczy niebieskie jak ocean. Nadal pływa na desce? W tej chwili miał na sobie bojówki, koszulę z podwiniętymi rękawami oraz lekko przekrzywiony krawat, jak człowiek bardzo zapracowany.

Dojechał do pracy spóźniony i stąd ten tłok w przychodni. Nagle zrozumiała, że wizyta u niej była z jego strony aktem rozpaczki. Zewsząd otaczali go potrzebujący, a jej wydał się bliski wyczerpania.

- Hej, Ginny. Witaj, Bąbelku. - Westchnął. - Powiniennem poświęcić wam trochę czasu, ale mam urwanie głowy. Możecie przyjść za godzinę? Nie spodziewałem się was tak szybko.

Rozejrzała się po poczekalni. Za godzinę? Mogła się założyć, że oprócz tych w poczekalni i na korytarzu czeka go jeszcze kilka wizyt domowych.

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytała. Rysy mu stężały.

- Przecież powiedziałaś...

- Tylko teraz. Ty pomogłeś mi z Bąbelkiem. - Jakby to cokolwiek wyjaśniało. - Gdyby ktoś się zajął Bąbelkiem...

- Jesteś pewna? - Pokręcił głową. - Głupek ze mnie. Ta pani złożyła mi propozycję na oczach świadków. - Przykucnął przy dziewczynce. - Lubisz robić babeczki czekoladowe?

- Tak. - Sprawiała wrażenie zdziwionej, ale i zainteresowanej.

- To jest nasza pielęgniarka Abby. Jej synek właśnie robi babeczki z moją siostrą Hannah, a kuchnia jest za ścianą. Jak skończą piec, wybiorą się na plażę na rybę z frytkami. Może być?

Dziewczynka przytaknęła, a Ginny w duchu dziękowała Bogu za przyjazne podejście do świata osób z zespołem Downa. Gdyby Barbara była zdrową czterolatką, na pewno by się zestresowała. Ale dzieci z Downem mają skłonność do akceptacji tego, co je spotyka.

Za wszelką cenę muszę odzyskać Małpiszona, pomyślała Ginny, biorąc małą na rękę.

- Jesteś bardzo grzeczną dziewczynką.

- Jestem bardzo grzeczna. - Barbara promieniała. Gdy Abby ją wyprowadziła, Ginny patrzyła na Bena, a im przyglądało się dwudziestu mieszkańców Kaimotu.

- Moi drodzy, poznajcie... - zawahał się - doktor Ginny Koestrel.

Zdawała sobie sprawę, co mieszkańcy myśleli o jej rodzicach, ale nie zamierzała zmienić nazwiska.

- Zapewne wiecie, że winnica Red Fire należała do moich rodziców. Na pewno też znacie Henry'ego Stubbsa, który dla

nas pracował, ale odkąd jest chory, ja prowadzę interes. Ale jestem też lekarzem. Z Australii. Ale dzisiaj przyszedłem pomóc doktorowi McMahanowi. - Żeby uniknąć pytań, wyjaśniła: - Nie mam wprawdzie prawa leczyć w Nowej Zelandii, ale mam prawo zapoznać się z waszymi kartami pacjenta i wypisywać recepty. Podpisze je doktor Ben, okej?

Idealne rozwiązanie. Po pierwsze, Ben odetchnął z ulgą. Po drugie, ludzie w poczekalni pożerali ją wzrokiem. Oto stoi przed nimi Guinevere Koestrel, córka milionerów, która wcale nie wygląda jak milionerka. Spędziła na wyspie kilka miesięcy, ale się nie pokazywała. Za to teraz zjawiała się z dzieckiem w przychodni.

Zdawała sobie sprawę, że ludzie od dawna plotkują na jej temat. Teraz nadarzyła się okazja potwierdzenia tych plotek. Zerknęła na Bena.

- Świetny plan, pani doktor - powiedział, wskazując drzwi. - To nasz drugi gabinet. W komputerze znajdziesz listę aptek. Poproszę Abby, żeby ci pomogła. I nie musisz wyjaśniać, kim jest Henry, bo on tu jest. - Wskazał na staruszkę siedzącego na krześle w kącie.

Jakiś czas temu Henry do niej zadzwonił.

- Przykro mi, panienko, ale artretyzm nie pozwala mi pracować. Niech pani poszuka kogoś na moje miejsce.

Ta informacja sprawiła, że Ginny postanowiła wrócić na Kaimotu. Henry nie oczekiwał, że będzie go leczyła, chciał jak najszybciej odejść..

- Nic mi nie potrzeba, panienko - mówił, uprzątając walącą się dozorcówkę. - Mam dokąd pójść. Z Koestrelami skończyłem.

W dużej mierze za sprawą jej rodziców, którzy nie traktowali go dobrze. Może i po trosze z jej winy, bo jako siedemnastolatka myślała tylko o sobie.

- Henry, zapraszam do gabinetu - powiedział Ben. - Mamy doktor Ginny, więc będzie nam już tylko lepiej.

Powiedziała, że tylko na to popołudnie, ale musi zostać. Nie wątpił, że stawiała się w przychodni zmuszona sytuacją, ale samo to, że zobaczyła, jak jest obciążony robotą i się tym przejęła, to dobry znak, no nie?

Za ścianą pracuje dyplomowany lekarz, którego on już nie wypuści, nawet jeśli to jest Ginny Koestrel.

Zwłaszcza że jest to Ginny Koestrel? No, nie tędy droga. Ginny to wyłącznie dyplom lekarza na dwóch nogach. Ma zadbać o zdrowie mieszkańców Kaimotu.

Przypomniał sobie, jak pierwszego lata, kiedy Koestrelowie kupili winnicę, jej matka przywiozła ją pod ich dom. Jej rodzice chcieli się bawić na Kaimotu, a córeczka im przeszkadzała. Patrzył wtedy przez kuchenne okno. Miała na sobie białą plisowaną spódniczkę i różowy sweterek, a do tego dwa rude warkoczyki związane różowymi wstążeczkami. Stała zagubiona na trawniku. No, na tym, co w jego rodzinie nazywało się trawnikiem.

Córeczka milionerów. On i jego rodzeństwo byli gotowi jej dokuczać. Ich mama, by dorobić, często opiekowała się innymi dziećmi, a oni zazwyczaj traktowali je dobrze. Ale tym razem jego siostra Jacinta powiedziała:

- Dla niej nie musimy być mili. Milionerka z nami się nie zaprzyjaźni, nawet gdybyśmy bardzo się starali.

Ale Ben był jej równolatkiem.

- Ben, bądź miły dla Guinevere - poprosiła matka, więc pokazał jej, jak robi się prażoną kukurydzę, a potem zabrał ją na kijanki. Mimo białej plisowanej spódniczki.

Opląciło się. Złowili kijanki, a potem przez całe lato obserwowali, jak przeistaczają się w żaby. I zanim je wypuścili, zdążyli się zaprzyjaźnić. Byli nierozłączni.

To wspomnienie przyćmiewał jeden głupi hormonalny incydent, ale ona nadal jest tamtą Ginny, pomyślał. Bez trudu nauczy Bąbelka łapać kijanki.

Hm... Ma przed sobą Henry'ego, który tylko czeka, by poskarżyć się na niestrawność.

- Ona jest lepsza niż jej rodzice - mruknął Henry i obaj wiedzieli, o kim mówi.

- Na pewno. Jej rodzice to potwory.

- Proponowała, żebym został w winnicy. Dożywotnio. Powiedziała, że wyremontuje dozorcówkę. Ładny gest.

- To dlaczego nie zostałeś?

- Mam po ojcu domek na cyplu. To mi wystarczy. Tam mogę zapomnieć o pracodawcy, o bogatych i o biednych. Ty też o tym nie myślałeś, jak była mała.

Dopóki rzeczywistość nie zaskrzeczała, pomyślał Ben. Dopóki nie wyobraził sobie, że ich światy można połączyć. Henry ma rację. Trzeba znać swoje miejsce.

Pamiętaj, że Ginny jest bogata. Pamiętaj, że spadło na nią dziecko o imieniu Bąbelek wymagające szczególnej opieki, którego wcale nie musiała brać do siebie. Zapamiętaj jej minę, kiedy prawnik zaproponował, że można małą umieścić w jakimś zakładzie.

Skup się na niestrawności Henry'ego.

- Mam nadzieję, że nie bierzesz nic oprócz leków, które ci przepisałem - zapytał podchwytliwie. Wcześniej Henry miał problemy, bo samowolnie faszerował się środkami sprzedawanymi bez recepty.

- Ma się rozumieć.

Łżesz, pomyślał Ben. Ale jak mu wytłumaczyć różnicę między paracetamolem, który nie szkodzi w przypadku wrzodów żołądka, a ibupromem, który jest niewskazany?

Ginny...

Nie. Trzeba zająć się Henrym. Nie wolno myśleć o Ginny.  
To tylko koleżanka lekarka.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Przyjmowała pacjentów do szóstej. Nie była to wyczerpująca praca: wystarczyło przejrzeć kartę choroby, zorientować się w terapii, wypisać receptę i przekazać ją Benowi do podpisania. Przez cały jednak czas towarzyszyło jej uczucie, że jest to pierwszy krok na śliskiej drodze prowadzącej do włączenia się w życie miejscowej społeczności.

Ludzie obawiali się trzęsienia ziemi. Kupowali świece, uzupełniali zapasy oraz leki. Mimo to odniosła wrażenie, że nie są zbyt przestraszeni. Trzęsienia ziemi zdarzają się w tym regionie często, więc podejrzewała, że głównie chodzi im o to, że przyjmuje ich doktor Koestrel, której rodzice przez lata traktowali mieszkańców jak źródło siły roboczej.

Jako studentka nie przyjeżdżała z rodzicami na wyspę. Prawdę mówiąc, głównie dlatego, że się za nich wstydziła. Poza tym była też ta sprawa z Benem...

Wróciła na Kaimotu dopiero teraz jako dorosła kobieta, Guinevere Koestrel. Na pewno wszyscy już wiedzą, że zjawiała się z dzieckiem, więc każdy chciał się dowiedzieć więcej. Na wszelkie pytania dawała wymijające odpowiedzi, ale i tak każda wizyta trwała cztery razy dłużej, więc pod koniec była zmęczona. I bardzo niepokoiła się o Bąbelka.

Co ją czeka? Przez ostatnie pół roku unikała ludzi, ale wystarczyło jedno popołudnie, by pękła bańka izolująca ją od świata. Musi przeorganizować swoje życie.

- To już ostatnia recepta. - Wręczyła ją Benowi.

W poczekalni nie było żywego ducha, podobnie w recepcji. Tylko Ben.

- Bąbelek! - Ruszyła w stronę kuchni.

- Ginny, mam nadzieję, że mi wybaczysz. Poprosiłem Abby, żeby zabrała ją do mojej mamy.

- Ty... jak to?

- Abby jest samotną matką i panicznie się boi, że jak wystąpi wstrząs, to jej synek będzie sam. Więc moja mama wzięła sprawy w swoje ręce. Ponieważ Abby będzie u nas na kolacji, zaproponowałem, żeby razem z moją siostrą Hannah zabrały dzieci do nas. Już położyły je spać, a na nas czeka kolacja. Mam jeszcze kilka wizyt domowych, ale jeżeli przyjmiesz zaproszenie, do pacjentów pojedę po kolacji.

- Jak mo...?

- Wiem, wiem - wszedł jej w słowo. - Jestem obrzydliwym manipulantom. Najpierw wrobiłem cię w pomoc w przychodni, a teraz w kolację. Ale to nie romantyczna kolacja przy świecach. Będzie mama, tata, kilkoro mojego rodzeństwa, Abby, Bąbelek i ty. Zero romantyczności.

Uśmiechnęła się zdawkowo. Tego właśnie sobie nie życzyła, wciągania w życie miasteczka. Chciała pracować w winnicy, chciała zapomnieć o medycynie, chciała...

Nie, niczego nie chciała, absolutnie niczego.

- Dlaczego rzuciłaś praktykę? - zapytał półgłosem. - Jak to?

- Poszperałem w sieci, jak się dowiedziałem, że znowu jesteś na Kaimotu. Masz super kwalifikacje, a mimo to...

- Mimo to mój mąż zmarł na raka.

- A ty nie mogłaś temu zapobiec? Obwiniasz siebie czy swoje umiejętności medyczne? O to chodzi?

- Nie twoja sprawa.

- Ale z medycyny zrezygnowałaś.

- Ben, daj mi spokój. Przekwalifikowałam się. Nie pozwolę, żeby winnica podupadła.

- Na Kaimotu lekarz jest potrzebny bardziej niż wino.

- A mnie na odwrót. Dzięki, ale zabiorę małą do siebie.

- Mamie będzie przykro, jak nie zjesz z nami kolacji. Lata temu matka Bena przygarnęła ją na łono swej rodziny jak własne dziecko, przez co dla zazwyczaj znudzonej nastolatki

wakacje nabrały kolorów. Teraz, po powrocie, przedstawiła jej swoje położenie. Wyjaśniła, że potrzebuje czasu, by pogodzić się ze śmiercią męża, że nie w głowie jej romanse, medycyna, stres. Że chce być sama.

- Kochana, rozumiem - powiedziała Ailsa, obejmując ją - ale niech ta samotność nie trwa za długo. Nie ma nic lepszego od przytulania, a w naszym domu tego ci nie zabraknie. I to nie tylko ja będę cię przytulać.

Ginny pragnęła być na wyspie, ale chciała uniknąć wszechobecnej bliskości. Przez pół roku trzymała się na uboczu, a teraz...

- Będzie gulasz z kopytkami - kusił Ben. - Po co komu świece i szampan, jak są kopytka? - Podał jej rękę.

- Mama twierdzi, że to twój przysmak.

Boże, zapamiętała! Ailsa zapamiętała!

- Moje rodzeństwo już wybiera zabawki dla Bąbelka.

- Pociągnął ją w stronę drzwi. - Ginny, chodź do domu.

Dom. Nie chciała tam iść. Każda komórka jej ciała krzyczała, że ma wracać do winnicy. Ale Bąbelek śpi u jego matki, która zrobiła kopytka, a Ben trzyma ją za rękę i się uśmiecha. Nie miała wyboru.

- Okej.

- Nie słyszę zachwyty. - Mimo to dalej się uśmiechał.

- Przepraszam. To bardzo wspaniałomyślny gest.

- To ty postąpiłaś wspaniałomyślnie. Gdybyś mi nie pomogła, nie dostałbym żadnej kolacji. Mama też zdaje sobie z tego sprawę. Jestem ci bezgranicznie wdzięczny, więc nie czuj się zobowiązana. Ani nie bój się, że wchodzisz na grząski grunt. Możesz wrócić do winnicy i samotności, ale najpierw musisz zjeść kolację.

Przy kuchennym stole siedziało osiem osób. Maluchy spały na kanapie w sąsiednim pokoju, do którego drzwi stały otworem, więc od stołu było je widać. Nadal blisko rodziny.

Tu zawsze tak było, pomyślała. Ailsa i jej mąż nie tylko spłodzili dwanaścioro dzieci, ale ich dom stał otworem dla wszystkich. Doug pracował na trawlerze rybackim, a gdy nie był na morzu, nieodmiennie siedział przy kuchni, pykając nienabitą fajkę.

- Wiem, że na morzu palisz, ale nie w domu, nie przy dzieciach - ustaliła Ailsa, a Doug jej posłuchał. Z dobrotliwym uśmiechem spoglądał na swoje stadko oraz wszystkich przygarniętych przez małżonkę.

Teraz w domu zostało troje najmłodszych. Becky, Sam i Hannah mieli odpowiednio czternaście, piętnaście i siedemnaście lat. Z radością powitali Abby.

Abby, która tego popołudnia pracowała z Ginny, już siedziała przy stole. Sprawiała wrażenie stałego gościa, jakby Ben często ją zapraszał. Abby i Ben?

Ben pomagał matce rozkładać kopytka, Doug milczał. Zabawianie gości należało do dzieci.

- Dobrze znowu cię widzieć - powiedziała Hannah, lekko się czerwieniąc. - Stęskniliśmy się za tobą.

- Ginny była dziewczyną Bena - czternastoletnia Becky poinformowała Abby. - Ja tego nie pamiętam, bo byłam małą, ale podobno się całowali. A potem Ginny wyjechała, a Ben strasznie cierpiał.

- Becky! - Reszta rodziny zareagowała unisono.

- Tak było. Wiem od Maureen.

Trudno było zapomnieć Maureen. Była najstarsza, pewna siebie i przemądrzała. Przyszła do Ginny dzień przed jej wyjazdem.

- Mogłaś mu okazać trochę dobroci. Bardzo to przeżywa, jest załamany. Mogłaś chociaż powiedzieć, że będziesz pisać.

Nie czuła się na siłach. Miała napisać, że marzy tylko o tym, by znaleźć się w jego ramionach? Że rozmawiała z

rodzicami o możliwości studiowania w Auckland? Nie mogła wtedy nie wspomnieć o Benie.

- Co ty opowiadasz?! On tej medycyny nie skończy. Dwanaścioro dzieci... Oni są biedni jak mysz kościelna. Guinevere, wybij to sobie z głowy. Jak chcesz być dobra, to mu nie przeszkadzaj spróbować. Masz iść na studia w Sydney, a jak dalej będziesz marudzić, wyślemy cię do ciotki w Londynie.

„On tej medycyny nie skończy. Będziesz mu tylko przeszkadzać”. Przykre słowa, ale mimo młodego wieku dostrzegła w nich ziarno prawdy.

Ben tak bardzo chciał zostać lekarzem, że od piętnastego roku życia po szkole pracował w porcie, wyładowując i czyszcząc ryby. Każdy cent z tej ciężkiej i brudnej pracy odkładał na studia.

„Będziesz mu przeszkadzać”. Podjęła wtedy decyzję godną Joanny d'Arc. Zerwie z nim i udowodni rodzicom, że się mylili. A jak już ukończą studia, wróci, wyłoni się z mgieł, zapewne w czymś białym i zwiewnym, przy akompaniamencie orkiestry i... i...

Uśmiechała się, a wszyscy przy stole wbili w nią wzrok, nawet Ben.

- Przepraszam. Przypomniało mi się, jakie to było romantyczne. Ta nasza pierwsza miłość. Ben, mam nadzieję, że za długo nie obnosiłeś się ze złamanym sercem.

- Przez wiele miesięcy - odparł z uśmiechem.

- O ile dobrze pamiętam, jeszcze tego samego lata zaczęłaś chodzić z Daphne - odezwała się Hannah. - A potem, jak już byłeś na studiach, przywiozłeś do domu tę... taką wymalowaną.

- I Jessikę Crosby w czarnych legginsach i z kolczykami - dorzuciła Becky. - A teraz mama uważa, że Abby...

- Wystarczy tego - odezwał się nagle Doug. - Odczepcie się od niego.

Przy stole zapadło milczenie. To znaczy, że Ben długo nie rozpaczał. To dobrze, prawda? Ona też nie nosiła go w sercu przesadnie długo. Zajęła się studiowaniem, miała kilku chłopaków, aż poznała Jamesa.

Był od niej starszy, a jego rodzice obracali się w tych samych kręgach co jej i byli znanymi lekarzami. Była zachwycona, kiedy poprosił ją o rękę. Do małżeństwa, które okazało się porażką, pchnęła ją ta sama naiwność, która wcześniej kazała jej marzyć o powrocie na Kaimotu przy akompaniamencie orkiestry.

- Ginny... - Podniosła wzrok na Bena. - Co ci jest? Męczymy cię?

- Może byś została u nas z małą na noc? - zapytała Ailsa.  
- Wiem od Bena, że niespodziewanie zostałam matką. Domyślam się, że nie jest ci łatwo. Bąbelek śpi jak kamień.

Kusząca propozycja. Mogłabym wrócić pod opiekuńcze skrzydła McMahonów. Jak dawniej.

Zrobiło się jej ciepło koło serca. Ta rodzina...

Spojrzała na Abby, która siedziała ze wzrokiem wbitym w talerz. Jeśli coś łączy tych dwoje, to słuchanie o ich szczenięcej miłości na pewno jest dla niej bardzo przykre

Znowu zespół Joanny d'Arc? Ginny, usuń się?

To nie takie głupie. Nie ma mgieł ani orkiestry w tle tylko brutalna rzeczywistość, która ją otacza.

- Dziękuję - odparła. - To wspaniała propozycja, ale pojedziemy do siebie.

- Wybraliśmy dla niej trochę zabawek - dodała Ailsa. - Najbardziej się jej spodobał Szuracz, szmaciany żółw Bena.

Popatrzyła na Bena, ale szybko odwróciła wzrok. Szlachetny lekarz oddaje swoją ulubioną zabawkę. Dlaczego tak ją to wzrusza?

- Dziękuję... bardzo dziękuję.  
- Jeżeli coś jeszcze możemy zrobić...  
- Mogę czasami z nią posiedzieć - zaproponowała Hannah. - Miałam być na uczelni, ale z powodu anginy monocytowej opuściłam dwa pierwsze miesiące semestru. Uznaliśmy, że do końca semestru zostanę w domu i zacznę od nowa w połowie roku. Więc jak chcesz pomagać Benowi w przychodni, to mogę wtedy się nią zająć. Za... za kasę - dodała trochę zawstydzona. - Bo ja też chcę zostać lekarzem.

- Przyda się pomoc - przyznał Ben. - Prawda, Abby?  
- To może też pomóc Bąbelkowi oswoić się z nowym miejscem - dodała Ailsa. - Tylko wy dwie to za mało. Ben podejrzewa, że miała różne nianie, więc poszerzenie kręgu opiekunów powinno dobrze jej zrobić. Hannah opiekuje się synkiem Abby. Bardzo ładnie się dzisiaj bawili. Tobie też by to wyszło na dobre, bo Ben mówi, że przychodnia potrzebuje więcej lekarzy.

Wpatrywali się w nią. Naciski... naciski...

- Nie. - Siedem osób uniosło brwi. - Oj, przepraszam - bąknęła, zdając sobie sprawę, jak małostkowo to zabrzmiało. - Ja po prostu...

- Jeszcze na to za wcześnie. - Ailsa obeszła stół, by ją przytulić. - Ginny, wiemy, że straciłaś męża, i jest nam bardzo przykro. Powinniśmy to uszanować, ale... wiemy też, ile Ben ma pracy.

- Jak zrobię dyplom, to będę pomagać - odezwała się Hannah bez wahania.

Wszyscy chcą pomagać. Ona też by mogła.

- Przykro mi. Ale po prostu... nie mogę.  
- To znaczy, że nie możesz - stwierdziła Ailsa, po czym spiorunowała Bena wzrokiem. - Jak nie może, to nie może. Ben, spotkała ją tragedia. Przestań ją namawiać, dopóki sama

do tego nie dojrzeje. Podziękuj ładnie za dzisiejsze popołudnie i już jej nie męcz.

- Bardzo dziękuję za dzisiejsze popołudnie - rzekł z powagą, po czym się uśmiechnął.

Jak kiedyś. Pośród mgieł i muzyki.

Koniec. Skupiła się na jedzeniu, a przy stole podniósł się gwar tak charakterystyczny dla tej rodziny. Zawsze tak było. Nikt na nią nie patrzył, nikt nie oceniał jej manier, nikt nie zmuszał do rozmowy. Oni po prostu... byli.

Poczuła na sobie wzrok Bena. Nie będzie nalegał. Nikt w miasteczku nie będzie na nią naciskał. Zadowolą się tym, co będzie miała im do zaoferowania.

Zachowała się egoistycznie, odmawiając?

Ale... nie może.

„To ma być lekarz?! Idiotko, nie umiesz zrobić zastrzyku, żeby się nie trząść!“. Nieprawda. Wszystko było w porządku, dopóki James...

- Ginny, nie martw się - usłyszała głos Bena. - Żadnych nacisków.

Poczuła, że się czerwieni, ale nie potrafiła podnieść wzroku. Tego popołudnia była lekarzem. Dlaczego nie może być nim dalej? Bo potrzebuje jej Barbara, pomyślała z ulgą. Wystarczył jeden dzień, by spadła na nią rola macochy. Ryzykowne wyzwanie, ale nie tak ryzykowne jak powrót do... normalnego życia?

Przy stole toczyła się rozmowa na codzienne tematy.

Cała ta rodzina to przyjaciele, pomyślała, więc... może tego jej trzeba. Chyba mogłaby się zaprzyjaźnić.

Nie dając nic w zamian? Jeszcze się z tym wstrzyma, bo jak na to przystanie... Gdyby jej dyplom został nostryfikowany w Nowej Zelandii, oczekiwano by, że wróci do zawodu lekarza.

„To się nazywa lekarz?!“.



- Żadnych nacisków - rzekła półgłosem Ailsa. - Kaimotu może poczekać, przyjaciele mogą poczekać, wszyscy możemy poczekać, aż będziesz gotowa. - Posłała jej ciepły macierzyński uśmiech.

Przyjaciele... to brzmi zachęcająco. Koniec z izolacją, pomyślała, włączając się do rozmowy. Ale teraz przynajmniej pozbyła się złudzeń. Mgły i orkiestry ma już za sobą.

Odprowadził ją do auta, by pomóc usadowić śpiącą dziewczynkę w foteliku. Wyprostował się i przeniósł na nią wzrok.

- Próbowaliśmy cię szantażować. Najpierw ten prawnik, potem ja. Przepraszam.

- Wcale nie.

- Wmanewrowałem cię w pomoc w przychodni.

- To moja decyzja.

- Powiedzmy. - Uśmiechnął się ironicznie. - Wiem, jak działa sumienie. W zeszłym tygodniu w supermarkecie zaczepiła mnie pani Guttering. Że dokucza jej paluch u nogi. Nim się obejrzałem, zdjęła but, a ja oglądałem ten paluch między chłodniami z lodami i mrożonym groszkiem. Jak można odmówić? Jeszcze się tego nie nauczyłem.

- Ja już potrafię.

- Ginny, to nic złego. Masz prawo odmówić. Odwróciła wzrok na dom, gdzie przez okno migotał telewizor. Dzieci. Dom.

Potem spojrzała na Bąbelka i umocniła się w swoim postanowieniu. Bąbelek, jej pasierbica. W całym tym galimatiasie jedno było pewne. Musi skoncentrować się na tym dziecku, na niczym innym.

- Tobie na niej zależy - zauważył Ben.

Gdy przeczytała klauzulę w testamencie Jamesa... Wychodząc za niego, bardzo pragnęła dziecka, ale dla niego ważniejsza była kariera zawodowa.

- Zegar biologiczny zaczyna się zwijać po trzydziestym piątym roku życia. Mamy czas.

Ona jednak czuła, że dziecko to wspaniała rzecz, ktoś, kogo można kochać, przytulać, dla kogo warto zrywać się o świcie. Dla pacjentów nie warto?

Niewykluczone. Od dziecka chciała zostać lekarzem, a rodzice wręcz tego od niej oczekiwali.

- Musisz zrobić specjalizację - nalegali ojciec i James oraz wszyscy ambitni znajomi. - Ginny, jesteś za dobra, żeby zadowolić się medycyną rodzinną.

Była już po egzaminach, w trakcie specjalizacji z anestezjologii, kiedy James zachorował.

Od tej chwili jej życie zmieniło się w koszmar. Wściekłość Jamesa, że akurat jego to spotkało, jego rozpaczliwa pogoń za coraz bardziej inwazyjnymi metodami leczenia, a do tego środowisko lekarskie nie składające bronii do samego końca.

- Powiniennem był zamrozić spermę - powiedział któregoś dnia, ale ona wiedziała, że nigdy nie miał takiego zamiaru, ponieważ uważał, że jest nieśmiertelny.

Walczył o życie jak lew, a ona to obserwowała, stając się ofiarą jego wściekłości. W końcu zmarł w trakcie kolejnej operacji. Stała przy jego łóżku, żałując, że nie może go przewieźć na Kaimotu, gdzie umierałby bez rurek i zabiegów, z werandy spoglądając na morze.

Uznałby to za szaleństwo.

- Powiesz mi, dlaczego odwróciłaś się od medycyny? - zapytał Ben, a ona wzruszyła ramionami.

- Nie udało mi się uratować Jamesa.

- Taką miałaś nadzieję? Że potrafisz każdego uratować?

- Nie.

- No więc...?

- Za dużo było medycyny - wyjaśniła bezbarwnym tonem  
- a za mało miłości. Już mi przeszło.

- To smutne.

Spoglądała na migoczący w świetle, księżycyca ocean, zastanawiając się, dokąd teraz poprowadzi ją los.

- Znajdziemy drugiego lekarza - odezwał się Ben. -  
Sytuacja wkrótce się uspokoi.

- Ciągłe uważasz, że powinnam pomagać?

- Nie widzę przeszkód. Dzisiaj spisałaś się na medal.

- Muszę opiekować się Bąbelkiem.

- Nie dlatego odmawiasz. Sama o tym wiesz.

- Nie muszę ci się spowiadać.

Popatrzyła na dziewczynkę w samochodowym foteliku. Spała z palcem w buzi, drugą rączką przytulając pluszowego żółwia. Ailsa i Abby pokazały jej mnóstwo ślicznych zabawek, ale ona bez wahania wybrała sfatygowanego żółwia bez jednego oka.

- Mama nigdy niczego nie wyrzuca - mruknął Ben.

- Pozwoliłbyś jej wyrzucić tego żółwia?

- Chyba nie. - Uśmiechnął się. - Nigdy w życiu.

- Ale oddałeś go Bąbelkowi.

- Bo ona będzie go kochać jak należy. - Spojrzał Ginny w  
oczy. - Pokochasz ją?

- Tak - odrzekła po namyśle.

- A jak się po nią zgłoszą jej rodzice?

- Nie zgłoszą się.

- Ale gdyby...?

- Poradzę sobie. Wszyscy jakoś sobie radzą. Dobrze to wiesz. Nam też się wydawało, że się kochamy. Ale żyjesz dalej.

- Bąbelek wymaga większego przywiązania niż to, do którego my byliśmy zdolni.

- Myślisz, że nie wiem?

Wpatrywał się w nią. W jej oczach wyczytał... słabość? Samotność? Przerażenie, że ma pod swoją opieką dziecko, o którym nic nie wie? Dzieci z zespołem Downa często chorują i mają trudności z nauką. Serce, płuca, ostre stany zapalne... Da radę.

Z powodu śmierci Jamesa nie pogrążyła się w rozpacz, ale czuła wewnętrzną pustkę. Medycyna przestała być jej pasją. Gdyby mogła pokochać to dziecko... Ale nic ponadto, zastrzegła się. Nic ani nikogo. Miłość jest kapryśna. Małżeństwo jej rodziców było farsą, a uczucie Jamesa okazało się kłamstwem.

Nawet Ben... Mówił, że ją kocha, a jeszcze tego samego lata znalazł sobie inną.

- Ty też żyłaś dalej. Drgnęła.

- Nie rób tego!

- Nie umiem. - Udawał głupiego, ale ona wiedziała, co miał na myśli. I na tym polegał problem. Dawniej wiedziała, co Ben powie, zanim się odezwał, i vice versa.

- To się na mnie nie gap! Przepraszam. Nie chodzi mi...

- Wiem, o co ci chodzi.

- Ben...

Uniósł dłonie w pojednawczym geście.

- Okej. Umówmy się, że mam oczy zamknięte. Jutro po południu? O pierwszej?

- Nie.

- Ginny...

- Nie! - Czuła się jak w potrzasku. - W razie wypadku...

- Tłumy spanikowanych mieszkańców Kaimotu to nie wypadek?

- Powiedz im, że Squid jest chory na zapalenie mózgu i bredzi. Albo zamknij go w izolatce i trzymaj tam tak długo, aż zamiast trzęsienia ziemi zaczniesz przepowiadać sto lat niewyobrażalnego dostatku.

- Żeby go zamknąć, musiałbym mieć drugą opinię. Poświadczysz? - zapytał, lekko się uśmiechając.

- Nie mogę. Nie jestem zarejestrowana w Nowej Zelandii, a nawet nie zamierzam o to występować.

- Nawet gdyby...?

- Nawet.

Przyglądał się jej uważnie, aż poczuła się nieswojo. Znał ją za dobrze i to się jej nie podobało.

- Ginny, gdybym wiedział, że twoje życie jest takie trudne...

- Wcale nie było. Przestań.

- Napisałbym.

- Zakazałam ci.

- A ja jak idiota posłuchałem. - Wzruszył ramionami. - W końcu jednak wróciłaś i już nie trzeba pisać listów. Ale nie będę cię ponaglał. Dam sobie radę inaczej. Ty za to postaraj się trochę wyluzować. Pozwól, żeby ta wyspa cię uleczyła.

- Nie jestem chora. Po prostu... wydorzałam.

- Wszyscy wydozrosliśmy. - Spowaźniał. - Nawet Bąbelek. Przytulaj ją często, bo dorastanie jest wyjątkowo trudne.

Tę noc należało spędzić na rozmyślaniach, ale Ginny nie rozmyślała. Była tak wyczerpana, że od razu zasnęła. Gdy rano otworzyła oczy, małe paluszki rozczesywały jej włosy. Jest matką. Zabrała małą do małżeńskiego łóża swoich rodziców z obawy, że Bąbelek się obudzi i przestraszy nowego miejsca. Ale dziewczynka nie wyglądała na przestraszoną.

Nie była u fryzjera od śmierci Jamesa. Jemu podobały się krótkie włosy, a Benowi długie. Ben...

W tej chwili nie chciała o nim myśleć, bo bała się emocji, które w niej obudził. Tak bardzo starała się nad nimi panować, a wystarczył jeden dzień...

To nie jego wina, że Bąbelek spadł na nią z nienacka. Zdawała sobie jednak sprawę, że źródłem emocji, które tak ją zatrwają, nie jest to dziecko.

Sięgnęła po szczotkę. Od tej chwili czesały się nawzajem, proste zajęcie, ale dla Bąbelka zachwycające. Ginny też sprawiało przyjemność, ale nie aż tak ogromną, by przestała myśleć o Benie, by stłumić wyrzuty sumienia, że odmówiła mu pomocy.

Gdyby się zgodziła... Jako lekarz z australijskim dyplomem może nawet przydałaby się do czegoś więcej niż wypisywanie recept. Wydawało się jej, że nie tęskni za medycyną, ale przyjąwszy wczoraj tylu mieszkańców Kaimom, pomyślała...

Może lepiej nie myśleć. Teraz jej kolej, żeby czesać Bąbelka. Przyjemne uczucie, podobnie jak widok uśmiechu małej. Znalazła się pod jej dachem... słusznie.

Przypomniał się jej wczorajszy wieczór u Ailsy. Domy się buduje dla więcej niż jednej osoby, pomyślała.

Bąbelek nawijał na palec kosmyk jej włosów.

- Czerwone.

- Marchewkowe - powiedziała Ginny, a Barbara się zamyśliła, a po chwili roześmiała.

- Marchewka!

Rodzina. Nagle Ginny się przyłapała, że jej myśli powędrowały do Abby. Sympatyczna samotna mama i zawodowo aktywna pielęgniarka. Pracuje z Benem, a jego rodzina wyraźnie ją przygarnęła. To dobrze. Wspaniale. Dobrze, że Ben znalazł odpowiednią dla siebie kobietę.

Bąbelek wcisnął jej do ręki szczotkę. Teraz jej kolej. Trzeba się skupić na kimś innym niż Abby i Ben.

Tylko Bąbelek i winnica. Nic innego.

Obudzony się, od razu pomyślał o Ginny, a powinien myśleć o Abby. Rodzina swatała go z nią na wszystkie

sposoby Abby jest śliczna, trochę gnębi ją przeszłość, ale to wspaniała kobieta i prawdziwy przyjaciel.

Taki jak kiedyś Ginny? Z Abby łączy go przyjaźń, czysta i prosta. Z Ginny...

No cóż, hormony nie ucichły, ale można nad nimi zapanować. To konieczne.

- Przydałyby się jakieś pigułki - powiedział na głos. Antyafrodyzjaki? Zbyteczne. Szczenięce żądze to przeszłość. Potem miał inne dziewczyny.

Co z oczu, to z serca? Zdecydowanie. Było kilka bardzo sympatycznych dziewczyn. Nic poważnego, ale było fajnie. Problem w tym, że teraz Ginny jest w zasięgu wzroku, a pociąg fizyczny znowu wybuchł z siłą wulkanu...

Kwestia przynależności klasowej nadal jest aktualna, aczkolwiek w mniejszym stopniu niż dawniej. Do tego te jej upiory przeszłości. Facet, który zawiódł jej zaufanie? Coś, co kazało jej rozstać się z medycyną? Wie o tym niewiele, może tylko snuć domysły. Gdyby jej pragnął...

Co mu chodzi po głowie?! Nie pragnie jej. To tylko wspomnienie.

- Zapomnij - mruknął. - Ona jest bogata i niezależna, nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Nie chce być lekarzem i stać ją na to, żeby robić, co chce. Daj jej spokój, tej lekarce z wyższych sfer, która nie chce być lekarzem. Nie, nie i jeszcze raz nie.

Mijały dni. Przepowiednie Squida zamiast blaknąć, przybierały na sile.

- Zatrzęsie potężnie. Mówię wam, potężnie.

Ben z rozrzewnieniem przypomniał sobie radę Ginny, by staruszka zamknąć w izolatce. Jednak mimo jego katastroficznych prognoz mieszkańcy wyspy stopniowo się uspokajali. Przyzwyczaili się do nich i nawet zaczęli z nich podśmiewać. Poczekałnia opustoszała.

Dwa dni od kolacji u Ailsy Ginny przyprowadziła Bąbelka do gabinetu, by Ben ją przebadał. Dziwna to była wizyta, medyczna i prywatna, pół na pół.

- Nie zmieniłaś zdania? - zapytał, podpisując próbki krwi z zamiarem wysłania ich do Auckland.

Oboje niepokoilo serce dziewczynki. Dzieci z Downem często chorują na serce. Wydawało mu się, że słyszał szmery, o czym nie było wzmianki w karcie, a Ginny też coś takiego usłyszała.

- Ona mnie potrzebuje - odparła z prostotą. To prawda, pomyślał Ben, ale i ona małej potrzebuje.

- Być może ty potrzebujesz jej bardziej niż ona ciebie - powiedział cicho.

- Nie.

- Nie będę drażył. - Podniósł Bąbelka ze stołu i postawił na ziemi. W tej samej chwili Ginny chwyciła ją za rękę i się cofnęła, jakby się go obawiała.

- Zawiadomię cię, jak dostanę wyniki.

- Dziękuję.

- Ginny...

- Dziękuję - powtórzyła.

Polubiła Bąbelka, bardziej niż polubiła. Gdyby Veronica albo jej mąż, którzy ją porzucili, nagle zmienili zdanie, była gotowa o nią walczyć. Jakie prawa przysługują macoszom?

Może żadne, ale jest realna możliwość, że Bąbelek zostanie z nią na zawsze. W tej chwili to dziecko wypełnia pewną pustkę. Potrzebuje jej, więc ona zrobi wszystko, co w jej mocy. I to usprawiedliwia odmowę pomocy w przychodni, pomyślała z lżejszym sercem. Kiedyś jedna z koleżanek ją ostrzegła: „Ginny, nie miej dzieci. Dziecko to dla matki nieustające poczucie winy. Czego byś nie zrobiła, czujesz się winna”.



Więc jest jak inne matki. Może powinna zadzwonić do Bena i mu to powiedzieć? Lepiej nie.

Skup się na małej. I winnicy? Nie idzie jej to najlepiej. Powinna poszukać kogoś na miejsce Henry'ego.

Ale czy coś się stanie, jak nie będzie zbioru? Wina na świecie nie brakuje, a pieniądze nie są jej potrzebne. Henry ją odwiedził i bardzo współczuł, ale go uspokoiła:

- W przyszłym roku, jak się lepiej zorganizuję, wynajmę ludzi. Należało to zrobić w tym roku, ale los zgotował mi niespodziankę, a ty jesteś chory. Dziękuję, że wpadłeś. Poradzę sobie. Czy Ben... czy doktor McMahon przepisał ci coś, co pomaga?

- On chce, żeby mi w Auckland zrobili gastroskopię. Głupi pomysł. Mam ci pokazać, jak...

- Nie. - Spojrzała na jego poszarzałą twarz. - Zapomnijmy o zbiorach, odłóżmy to do przyszłego roku.

To ma sens, pomyślała. Bąbelek i ona ułożą sobie życie. Obserwowała, jak dziewczynka podlewa pomidory. Było to jej ulubione zajęcie, a ona poczuła, że jest... niemal szczęśliwa. Ale pełnia szczęścia to pieśń przeszłości. Z czasów przed Jamesem.

Była szczęśliwa w epoce Bena. I na tym polega największy problem. Dlaczego tak ją to niepokoi? Dawno temu był jej najlepszym przyjacielem. Przyjaciele, a nie kochankowie? To chyba możliwe.

Ben chce, by zrobiła kolejny krok. Stać ją na to. Bąbelkiem zajmie się Hannah. Praca z Benem?

Po co ciągle żyć wspomnieniem pewnego popołudnia? Dlaczego to wspomnienie tak ją przeraża?

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Prowadzenie przychodni w pojedynkę nie jest niemożliwe. Oprócz sytuacji kryzysowych. W szpitalu było dziesięć łóżek. Bardzo trudne przypadki odsyłał na Wyspę Południową, ale ponieważ teraz był sam, większość przypadków kwalifikował jako ostre.

Pracując z drugim lekarzem, spokojnie dawał sobie radę z zapaleniem wyrostka, przepuklinami, drobnymi zabiegami chirurgicznymi, ale w pojedynkę... no cóż, teraz transportowy hercules ma więcej roboty.

Mieszkańcom wyspy się to nie podobało. Nie chcieli znaleźć się z dala od rodziny i przyjaciół, ale Ben nie miał wyboru. Radził sobie, dopóki wrzód żołądka Henry'ego nie postanowił perforować.

Dlaczego takie wypadki muszą wydarzać się nad ranem? Ktoś powinien na ten temat napisać pracę naukową, pomyślał, sięgając po komórkę.

- Ben? - zapytała Margy, pielęgniarka. Od razu się domyślił, że stało się coś złego.

- Uhm.

- Dzwoni Henry. Przełączę cię.

- B...Ben?

Staruszek nigdy nie był zbyt gadatliwy, ale tym razem ledwie szeptał.

- Tak, Henry, to ja. Co się dzieje?

- Boli... i wymiotuję krwią.

Że Ben wyskoczył z łóżka, to mało powiedziane.

- Jesteś u siebie?

- Tak.

- To połóż się i nie ruszaj. Zadzwoń do Maxa i Elli. - Max i Ella byli najbliższymi sąsiadami Henry'ego. - Poproszę, żeby przywieźli cię do szpitala. Przywiozą cię szybciej, niż gdybym ja po ciebie pojechał.

Poza tym musiał przygotować salę operacyjną i wezwać pielęgniarki. Oraz Ginny. Natychmiast.

- Zabrudzę im samochód - wyszeptał Henry, ale Ben dał mu do zrozumienia, co o tym myśli, po czym skontaktował się z Maxem i Ellą, dziękując Bogu za tak solidnych sąsiadów. Potem zadzwonił do Ginny.

Zasypiała, przytulając Bąbelka... i rozmyślając o Benie. Dlaczego nie daje jej spać? Nie, to nie on. Co innego nie pozwala jej zasnąć. Wspomnienia związane z Jamesem.

„Głupia babo, skąd ty możesz wiedzieć, co ja czuję? Jesteś zdrowa! Udajesz, że mi współczujesz, ale nic nie możesz zrobić! Dlaczego nie potrafisz włączyć tej pompy infuzyjnej?! Jak możesz spać, kiedy ja cierpię?!".

Pompa była włączona. To nie jest ból, pomyślała wtedy. To strach i wściekłość. Chorował już od roku i od samego początku miał do niej o to pretensję.

Więc dlaczego teraz, leżąc w łóżku, myśli o innym mężczyźnie? O nowym związku? Wcale o tym nie myśli. To się nie powtórzy. Po prostu rozmyśla o wszystkim... jak zawsze. Zadzwonił telefon.

- Ginny?

- Ben?

- Jesteś potrzebna. U Henry'ego doszło do perforacji wrzodu żołądka. Za późno na ewakuację. Mama i Hannah już do ciebie jadą, żeby zająć się Bąbelkiem. Jak tylko dojadą, chcę, żebyś przyjechała... Proszę.

Nie miała wyboru. Powinna odmówić, przypomnieć mu, że nie zamierza praktykować.

- Przyjadę.

- Ginny... znasz się na anestezji?

- To moja specjalność. Jestem anestezjologiem. Chyba go to zaskoczyło.

- Dzięki Bogu... Wszystko przygotuję. Zobaczymy, czy uda się nam dokonać cudu.

Tak, Henry'ego mógł uratować tylko cud. Gdy weszła do sali operacyjnej, wystarczyło jedno spojrzenie. Na jej oczach wykrwawił się niejeden pacjent, więc od razu wiedziała, że ma przed sobą człowieka na krawędzi.

Nie było czasu na rozważanie spraw osobistych. Margy już włączała sprzęt, Abby rozcinała ubranie Henry'ego.

- Jest Ginny - powiedział Ben. - Twoja Ginny.

- Moja Ginny - wyszeptał staruszek.

- Jestem przy tobie, Henry. Wiesz, że jestem lekarzem, anesteziologiem. Podam ci coś, po czym zaśniesz. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie mam - wyszeptał Henry. - Ty i Ben... Od zawsze czułem, że będziecie parą. Kto by pomyślał... Ty i Ben...

Ona jest anesteziologiem. Kto by pomyślał? Słowa Henry'ego dźwięczały mu w uszach. Ma anesteziologa, gdy najbardziej go potrzebuje!

Chirurgię zgłębiał przed powrotem na Kaimotu, zaliczył pół roku na oddziale położniczym, ale gdyby chciał się szkolić w każdej specjalności, nigdy nie wróciłby na wyspę.

Pełen podziwu obserwował poczynania Ginny. Pomyślał nawet, że Henry ma szansę przeżyć. Od telefonu do niej stan staruszek znacznie się pogorszył. Jeszcze zanim zjawiała się w sali operacyjnej, pomyślał, że go stracą. Ale teraz...

- Bierz się do roboty - rzuciła, nie odrywając wzroku od ekranów sprzętu utrzymującego pacjenta przy życiu.

Znaleźć wrzód i go zaszyć? Wydaje się proste, ale tak nie jest. Zdarzało mu się operować, ale nie codziennie, więc zabierało mu to sporo czasu.

Tyle krwi! Gdzie jest ten wrzód?!

- Stańcie po dwóch stronach - rzuciła Ginny do pielęgniarek. W ten sposób jedna mogła oczyszczać z krwi

pole operacyjne, druga podawać Benowi instrumenty. - Jak najszybciej przygotuj pole - zwróciła się do Margy.

Jakiś czas pracowali w ogromnym skupieniu, aż Ben trafił na miejsce owrzodzenia.

To cud, że Henry jeszcze żyje, pomyślał.

- Nici. - Otrzymał je w okamgnieniu. Kątem oka zauważył, że przygotowuje je Ginny, jednocześnie monitorując oddychanie, natlenowanie krwi oraz przepływ plazmy w kroplówce.

Nie myśl o tym, szyj! Robił to bardzo ostrożnie, by nie powiększyć rany, co by utrudniło gojenie.

Krwotok malał. Jak szybko Ginny dawkuje plazmę? Gdy ponownie na nią zerknął, nieznacznie skinęła głową.

- Natlenowanie dziewięćdziesiąt trzy - zameldowała. - Jak chcesz trochę pohaftować, przytrzymamy ci kanwę.

Wystarczyły te słowa, by napięcie w sali zmalało. Ben i obydwie pielęgniarki szkolili się w wielkomiejskich szpitalach, byli zatem oswojeni z żarcikami, jakimi się wymieniało w trakcie stresujących zabiegów.

- Jego pies wabi się Banjo - odezwała się Margy. - Jak się wybudzi, możemy mu powiedzieć, że wyhaftowałeś mu „Banjo” na żołądku.

- Musiałby skorzystać z bardzo skomplikowanego lusterka, żeby to zobaczyć - odparł Ben, nie przerywając zakładania szwów. Ale tym razem już się uśmiechał.

- Poziom tlenu się podnosi. Za pół godziny powinien wynieść sto procent. Margy, podaj więcej plazmy.

Zaszył już żołądek i teraz w skupieniu pracował nad mięśniami. Nagle...

- Stop! - krzyknęła Ginny. - Nie, nie! Byli tak blisko zakończenia...

Żeby zinterpretować jej słowa, nie musiał podnosić wzroku na monitor. Nagły spadek ciśnienia. Migotanie komór.

Margy podała mu defibrylator. Dziękował Bogu, że większość szycia została już zrobiona. Nie, nie dziękował Bogu, ale do niego przemawiał. Jedno jedyne słowo. Błagam...

Czuł, jak adrenalina niemal rozsadza mu żyły. Gdyby nie Ginny... Błagam!

- Odsuńcie się! - poleciała pielęgniarce.

Spazm. Ciało Henry'ego zeszywniało, a po chwili cienka niebieska linia zaczęła chodzić do góry i w dół, miarowo, jakby tylko zatrzymała się na krótką drzemkę.

- Boże... - wyszeptała Margy przez łyzy.

Ben sobie przypomniał, że Margy od kilkadziesiąt lat przyjaźni się z córką Henry'ego. Tak, to duży problem na Kaimotu. Wszyscy znają wszystkich.

- Z każdą śmiercią czuję się coraz mniejszy. - A co dopiero na takiej wysepce jak Kaimotu.

- On... Myślę, że będzie żył - wykrztusiła Ginny, a Ben spojrzał w jej stronę. Henry przez lata pracował u jej rodziców. Czy i jego uważa za przyjaciela?

- Ustabilizujemy go i ewakuujemy - postanowił. - Na kardiologię w Auckland.

- Nie wyrazi zgody - ostrzegła go Margy.

- Więc go ewakuujemy, jak będzie jeszcze za słaby, żeby protestować. Ja też go lubię, więc dostanie to, co najlepsze, czy mu się to podoba, czy nie. Bogu niech będą dzięki za Ginny i defibrylatory. Oraz za kardiologów i gastrologów w Auckland, bo jeśli do rana uda nam się utrzymać go przy życiu, to tam wylądować.

Margy ściągnęła dodatkowe pielęgniarki, by monitorowały Henry'ego. Ben zrobił tyle, ile mógł. Transfer jeszcze tej samej nocy był zbyt ryzykowny, ale załatwił śmigłowiec na następny poranek. W razie potrzeby będzie spał tuż za ścianą.

Pół godziny wcześniej odesłał Ginny do domu, ale gdy wyszedł ze szpitala, zauważył, że siedzi na barierce oddzielającej parking od ulicy. Czeka na niego?

- Cześć. - Zrobiła mu miejsce obok siebie.

- Cześć. - Czuł się dziwnie. - Dlaczego nie jesteś w domu?

- Myślisz, że mogłabym zasnąć?

- Sen jest potrzebny. Byłaś rewelacyjna.

- Ty też. Nie wiedziałam, że jesteś chirurgiem.

- A ja, że jesteś anestezjologiem.

- Kiedyś się przyjaźniliśmy - powiedziała. - Należało tę przyjaźń podtrzymać. Szkoda, że do ciebie nie pisałam i że nie pozwoliłam tobie pisać. Wystarczyło jedno głupie lato, żebyśmy to pogrzebali.

- To było bardzo udane lato - zauważył ostrożnie.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Bardzo udane.

- Biłaś rekordy jako łowczyni kijanek.

- Nauczę tego Bąbelka.

Miał ochotę zaproponować, że pomoże, ale uznał, że byłoby to nierozsądne. Otworzyła się troszeczkę, więc lepiej nie naciskać. Ale... musiał zadać jedno pytanie.

- Dlaczego zrezygnowałaś z praktyki?

- Widzisz, jak wszystko dokoła się wali, to żółw zamyka się w skorupie. Chyba... chyba zrobiłam to samo.

- Twoją skorupą jest ta wyspa. - Tak.

- A medycyna?

- Kiedy James umierał... Próbowaliśmy wszystkiego. Wszystkich specjalistów, metod, najnowszych odkryć naukowych. Nic nie pomogło.

- Winisz medycynę?

- Nie - odparła zmęczonym tonem. - Ale... ojciec usilnie mnie zachęcał, żebym poszła na medycynę, James, żebym zrobiła specjalizację, ale kiedy obaj zachorowali... najpierw

ojciec, potem James... obaj zwrócili się przeciwko mnie. Byli wściekli, a ja byłam bezradna. Kładłam się spać, marząc, że jestem... robotnikiem, który łąta dziury w asfalcie. Albo ogrodnikiem. Żeby mnie o nic nie obwiniano.

- Nie jest twoją winą, że umarli.

- Nie jest. - Wzruszyła ramionami. - Ale spróbuj im to powiedzieć.

- Ginny, oni nie żyją.

- Wiem, ale ja dalej czuję ten ciężar. Córka i żona, która nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

- Nonsens. - Gdy położył jej rękę na ramieniu, poczuł, że zeszywniała.

- Nie.

- Z ich powodu zrezygnowałaś z praktyki lekarskiej. Czy rezygnujesz też z przyjaźni?

W milczeniu patrzyli na morze iskrzące się w świetle księżyca. Trzymając rękę na jej ramieniu, czuł, że Ginny stara się, próbuje zrelaksować. Co ci faceci jej zrobili? Poczuł chęć... Nic z tego. Nieboszczyków nie da się znokautować.

- Kiedyś mi przejdzie - odezwała się. - Nie mogę całe życie tkwić w skorupie. Bąbelek mi pomoże wyjść.

- Wrócisz do Australii?

- Nie - odparła bez wahania.

- Na tej wyspie się nie ukryjesz. Tutaj też toczy się życie.

- Wiem, ale tutaj mogę pójść z małą na kijanki.

- Na pewno będzie zachwycona. Ginny, chociaż trochę mi zaufaj. Przyjaźniliśmy się. Jestem drugim po tobie łowcą kijanek na Kaimotu. Moglibyśmy... razem.

- Ben, ja nie mogę...

- Się otworzyć?

- Otóż to. - Zsunęła się z barierki.

Co ci faceci jej zrobili? - pomyślał znowu, mimo woli zaciskając pięści. Jego piękna Ginny...



- W porządku. - Starał się, by nie usłyszała, że w nim aż się gotuje. - Traktuj tę wyspę jak skorupę. Ale masz Bąbelka, który cię z niej wyciągnie. Dzisiaj sama wyszłaś. I dzięki temu Henry żyje. Nawet nie wiesz, jak bardzo ci jestem za to wdzięczny.

- To ja powinnam być wdzięczna. Henry był moim przyjacielem.

- Henry jest twoim przyjacielem. - Ponieważ milczała, odważył się dodać: - Ginny, nikt na tej wyspie nie ocenia cię jako córki twoich rodziców. Przez dziesięć lat spędzałaś tu wakacje i masz wielu przyjaciół. Moja rodzina traktowała cię jak swoją. Ginny, my tu ciągle jesteśmy. Czekamy, aż się otrząśniesz i znowu uznasz nas za przyjaciół.

- Nie mogę.

Rozczulony dotknął jej policzka. Taka piękna, taka przestraszona.

- Nie możesz - powtórzył - ale dzisiaj mogłaś. - Nim się zorientował, nim ona się zorientowała, pochylił się i musnął wargami jej usta. Przerażony odsunął się, zanim zdążyła zareagować. - Wszyscy tu jesteśmy i czekamy. Ta wyspa jest stara jak świat i bezgranicznie cierpliwa.

W tym momencie ziemia zadrżała.

Był to ledwie wyczuwalny wstrząs, dokładnie taki sam jak wstrząsy, które mają miejsce na Kaimotu od niepamiętnych czasów. Ot, lekki pomruk niezadowolenia z jądra ziemi. Żaden powód do zmartwienia.

- Może to ponaglenie? - Uśmiechnął się.

- Jeszcze trochę poczeka.

- Może wyspa chce cię zachęcić? Tak jak my. Ginny, dzisiaj uratowałaś Henry'ego. To dobry początek. Skarbie, nikt cię nie pogania, ale jak już wyjdiesz ze skorupy, to będziemy gotowi cię przyjąć.

Powiodła palcem po wargach, które przed chwilą pocałował, a z jej twarzy wyczytał, że toczy się w niej wewnętrzna walka. Co ci faceci jej zrobili?!

- Muszę jechać - wyjąkała. - Ben...

- Nic nie mów. Pokazałaś dzisiaj, co umiesz. Jestem pełen uznania dla tego, jak radzisz sobie z Babelkiem. Ginny, krok po kroku. O nic więcej cię nie prosimy. - Otworzył drzwi jej samochodu. Nie dotknął jej, ale o mało go to nie zabiło. - Dobrej nocy, Ginny.

Nie odpowiedziała.

Dotarła do winnicy. W oknach domu świeciło się światło. Tam Ailsa i Hannah opiekują się Babelkiem, czekają na nią i na wiadomości o Henrym.

Kaimotu jest jak kokon, pomyślała, ciepły, dający poczucie bezpieczeństwa przed chroniący przed rzeczywistością. Czy ona ma ochotę wracać do rzeczywistości?

Kaimotu jest poza czasem, miejscem wakacyjnym, azylem. Mogłaby sprawić, że ta wyspa stanie się realna. Ale gdyby to zrobiła, to czy pojawiłaby się rzeczywistość?

Pomyślała o swoim małżeństwie. Mogła żyć z Jamesem długo i szczęśliwie. Ale gdy znalazła się w jego świecie, zrozumiała, że dorosłość to nie bajka. Dorosłość to spełnianie oczekiwań, wspinanie się po drabinie awansu, znoszenie szyderstwa w razie porażki. To świadomość, że medycyna jest bezradna, że nic nie można zrobić, by ratować ojca lub męża. To lekcja nienawidzenia siebie oraz ściąganie na siebie nienawiści innych.

- Muszę iść do psychiatry - powiedziała, ale zamknawszy oczy, odetchnęła głęboko. Potem podniosła wzrok na rozgwieżdżone niebo i uznała, że psychiatra na nic się jej nie przyda. Sama musi zrobić ten krok.

Ale na pewno nie w kierunku Bena. Pocałował ją.

Ben jest rzeczywisty. Nie, jest ułudą jak cała reszta, bo ona już nie wierzy mężczyznom, którzy mówią, że jest zdolna, piękna, wspaniała.

- Moim obowiązkiem jest opiekować się Bąbelkiem i robić wino. - Hm, w tym sezonie chardonnay nie będzie. - No to co? Najważniejsza jest Barbara. - Tak jak ważny był Henry. Pomogła go uratować.

Ale na jak długo? Będzie miał kolejny zawał i umrze, a ona będzie czuła się...

- Nic nie będę czuła. Mogę pomóc Benowi w kryzysowej sytuacji, ale biorę odpowiedzialność tylko za Bąbelka. To nie będzie moja wina.

- Wykręcasz się.

- Wiem. Ale tylko tyle mogę zrobić. Jeżeli Benowi się wydaje, że całując mnie, odwiedzie mnie od tej decyzji... Marzenie ściętej głowy, Ben.

Nie mógł zasnąć, bo rozmyślał tylko o tym pocałunku.

Pragnął jej, mając siedemnaście lat, i teraz też jej pragnie. Potrzebuje jej jako kobiety, jak dwanaście lat temu, ale teraz również jako lekarza. Widział ją w sali operacyjnej. Dzięki jej umiejętnościom mieszkańcy Kaimotu mieliby opiekę medyczną z prawdziwego zdarzenia.

- Zostaw ją w spokoju. Nie masz już siedemnastu lat. Poszukaj sobie innej. W tym cały problem - jęknął.

Na tak małej wyspie każda randka rodzi oczekiwania i komplikacje. Jak tego wieczoru. Jeden pocałunek... Oczekiwania i komplikacje?

- Wyluzuj - mruknął. Zwlókł się z łóżka, by zajrzeć do Henry'ego, który spał spokojnie i w ogóle go nie potrzebował.

Wrócił do łóżka, ale gdy zasnął, śnił o Ginny.

Tymczasem w porcie... O piątej nad ranem cała wyspa spała oprócz Squida Daviesa, który czuwał.

- Nadchodzi - mamrotał. - Czuję to w kościach. Znalazł kawałek papieru i zaczął pisać.

- Na wszelki wypadek. Będę przygotowany, nawet jak oni nie będą.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ben nie widział jej od kilku dni.

Henry spędził cztery dni w szpitalu w Auckland, po czym został odesłany na Kaimotu. Ben od matki dowiedział się, że Ginny namawiała go na powrót do winnicy, ale staruszek stanowczo odmówił.

- Ginny bardzo się stara - mówiła matka. - Odwiedza go dwa razy dziennie, ale nic nie jest w stanie zrobić.

Miał zamiar porozmawiać z Ginny na temat Henry'ego, ale to wyjaśnienie odebrało mu pretekst do spotkania,

Cały tydzień zabrało mu zdobywanie wyników wcześniejszych badań Bąbelka. Było to nie lada wyzwanie, zwłaszcza w przypadku dziecka, którego jeden rodzic umknął do Europy, a drugi nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Oficjalnymi kanałami załatwił niewiele, pozo - stał mu więc prywatny. Zadzwoił do męża Veroniki, który w ostrych słowach zastrzegł, że nie chce znać dziecka które nie jest jego, ale na szczęście nie przerwał połączenia.

- Formalnie jest pan nadal prawnym opiekunem Barbary - przypomniał mu Ben. - Teraz ja jestem jej lekarzem, a Ginny opiekunką. Chce pan, żeby to dziecko umarło na serce z powodu pańskiej urażonej dumy?

Mężczyzna ostatecznie się ugiął, a gdy w końcu wyniki dotarły do Bena, ten aż zaklął.

Problemy. Trzeba porozmawiać z Ginny. Był poniedziałek, piękny jesienny dzień. Po dyżurze w przychodni miał kilka wizyt domowych, ale najpierw ruszył do Ginny. Ziemia zatrzęsa się w chwili, gdy dojeżdżał pod bramę winnicy.

Ginny przyglądała się, jak Bąbelek je grzanekę, gdy nagle upadła na podłogę, a dokoła rozpętało się piekło. Jakby jakaś siła uniosła cały dom i nim potrzęsnęła, tak że ściany stały się podłogą, a podłoga ścianami.

Bąbelek krzyczał. Ginny pochwyciła dziewczynkę w ostatniej chwili, gdy o mało nie spadło na nią krzesło.

Stół. Stół! Gdzie o tym usłyszała? Być może dawno temu w szkole podczas lekcji o trzęsieniach ziemi.

Drugie przykazanie: uciekać z domu na otwartą przestrzeń. Na razie było to niewykonalne, bo leciały na nie wszystkie meble i drobne sprzęty kuchenne. Ginny ledwie utrzymywała się na klęczkach.

Stół... Jeżeli uda się pokonać zaporę z krzesel...

Stół był ogromny, solidny, z grubych desek. Jeżeli uda się im dostać pod niego...

Od stołu dzielił ją metr. Przeturlaj się!

Podłóże znowu zmieniło kierunek, ułatwiając jej to zadanie. Dziewczynka, krzyząc wniebogłosy, uczepiła się jej z całej siły, więc jedną rękę miała wolną, by chwycić się nogi stołu. Gdy znalazły się pod nim, ziemia nadal falowała, a wraz z nią stół i podłoga, ale Ginny miała już punkt zaczepienia. Dzięki Bogu, że dom jest parterowy, pomyślała, i kryty blachą, a nie ciężką dachówką. Wolą sobie nie wyobrażać, co by się wtedy działo.

Teraz muszą czekać, aż ziemia złapie równowagę.

Właśnie skręcał w bramę, gdy kilkaset metrów przed nim droga się uniosła, spychając w jego stronę tony ziemi, połamanego asfaltu i powalonych drzew.

W ułamkach sekundy zdecydował, że zamiast wyskoczyć z auta, musi błyskawicznie skręcić na trawiaste pobocze z dala od drzew i plaży. Taki miał zamiar, ale nim zahamował, auto uniosło się w powietrze.

To nie był jeden wstrząs, a kilka, jakby ziemia nie wiedziała, jak się ustawić. Ben kurczowo trzymał się kierownicy, podczas gdy samochód skakał jak rozjuszony byk. Nieoczekiwanie Ben przełączył się na tryb lekarza. Trzęsienie ziemi. Poszkodowani. To najważniejsze.

Stary Squid miał rację. Nie wolno lekceważyć słów starszych, pomyślał. Potem przestał myśleć, bo auto przekoziółkowało, po czym, nie do wiary, opadło z powrotem na cztery koła. Jaka to musi być siła...

Tsunami. Trzęsienie ziemi i wielka fala. Uciekać na wzniesienia!

Jeszcze nie teraz, bo musi trzymać się kierownicy. Ma zapięte pasy, ale urwisko może się obsunąć, a wtedy auto... Lepiej o tym nie myśleć, tylko z całych sił trzymać się kierownicy, dopóki wstrząsy nie ustaną.

Poszkodowani. Jeden lekarz. Nie, dwóch. Najpierw Ginny. Oby nic się jej nie stało. Odnajdzie Ginny, zabierze ją do szpitala, Bąbelka przekaże matce...

Rodzice, rodzeństwo...

Nie, teraz planowanie. Wezwać pomoc ze stałego lądu. Sięgnął po komórkę. Jest sygnał? Nie ma. To znaczy, że przekaźnik na lotnisku został uszkodzony.

Stosowne służby na stałym lądzie i tak się zorientują. Trzęsienie o takiej sile musiały odnotować wszystkie sejsmografy na kuli ziemskiej.

W szpitalu dyżurują dwie pielęgniarki, dwie miały być pod telefonem. Ile z nich dojedzie? Drogi na pewno są nieprzejezdne. Samochód znowu podskoczył. Ginny...

- Boże, błagam, błagam...

Ilekcroć myślała, że już po wszystkim, ziemia ponownie zaczynała drzeć. Najbezpieczniej byłoby na zewnątrz, a to oznaczało, że najpierw musiałyby wydostać się z domu, ale bała się ruszyć. Bąbelek milczał wczepiony w nią jak małpka. Ku swojemu zdziwieniu przyłapała się, że śpiewa półgłosem dziecięce piosenki, a Bąbelek od czasu do czasu jej wtóruje. Są same, one dwie i stół. Najbliżsi sąsiedzi mieszkają kilka kilometrów dalej. Ziemia nie przestawała się trząść.

Obserwował, jak w nawierzchni otwierają się szczeliny, jak fragment urwiska spada do morza, jak chwieje się dom Ginny, a jednocześnie planował następne kroki: punkty pomocy dla poszkodowanych, ewakuacja, zaplecze ratownicze.

Budynek szpitala był z drewna, a patrząc na dom Ginny, pomyślał, że drewno jest całkiem bezpieczne. Niestety zawalił się jeden z kominów. Boże...

Wstrząsy słabną. Lada chwila odważy się wyjść z auta i sprawdzi, co u Ginny. Widział przecież, jak jej dom trzęsie się w posadach. Nic dziwnego, że się o nią niepokoi. Poza tym to jego przyjaciółka z lat szczenięcych. Nieprawda, to coś więcej.

Ile jest poziomów miłości? Nie pora się nad tym zastanawiać, zwłaszcza że wstrząsy zdecydowanie słabną.

Może tak mocno zatrzęsło się tylko w tej części wyspy? Chyba nie, bo drogi są kompletnie zniszczone, drzewa przewracane, a dom Ginny... ciągle stoi. Ze swojego miejsca Ben widział okna bez szyb i porozrzucone cegły. Nagle przypomniał sobie o belkowanym stropie. To sprawiło, że wyskoczył z auta.

Powinna wynieść dziecko spod stołu, ale bała się ruszyć. Ziemia już tylko lekko drżała, więc powinna wybiec na zewnątrz.

- Już dobrze, już po wszystkim - szeptała.
- Ginny...? - usłyszała od strony werandy.
- Ben, to ty? - Nie dowierzała własnym uszom.
- Gdzie jesteś? - zawołał.
- W kuchni. Pod stołem. Ale te belki stropowe...

Nie dokończyła, bo nagle rozległ się łoskot, jakby przez kuchnię parł czołg, ale był to przerażony Ben, który odsuwał meble tarasujące drogę.

W końcu znalazł się pod stołem. Razem z nią.



Myślała, że już się skończyło, ale gdy nieco się zrelaksowała, ziemia znowu się zatrzęsała. Wstrząs nie był tak silny jak pierwszy, ale Bąbelek znowu do niej przywarł, a Ben wzmocnił uścisk.

Ponownie przyszło jej na myśl...

Nonsens. Przecież sobie przysięgała, że już nie będzie o tym myśleć. Jest bezpieczna w ramionach człowieka, który ją kocha? Życie jest farsą. Przytuliła się do niego z rozplaszczonym między nimi Bąbelkiem.

Obłąd. Ziemia się trzęsie, a ona wspomina Jamesa, małżeństwo, w którym rozkwitła i uwierzyła, że życie może być usłane różami. Po co o tym myśleć? O zdradzie, braku zaufania, złości, nienawiści. O przeświadczeniu, że pomyliła się w ocenie, że zaufanie jest głupie, że miłość to wymysł autorów romansów.

- Ginny, musimy wyjść na zewnątrz.

- Dobrze mi pod tym stołem.

- Mnie też. Ale nad nami są te belki. Jak mocniej zatrzęsie, mogą na nas spaść. Bąbelku, biegniemy. Wyjdziemy spod stołu, a ja wezmę cię na rękę, bo mam więcej siły niż Ginny.

- Nie, Ginny - wyszeptała dziewczynka.

- Widzę twojego żółwia - rzucił swobodnym tonem. - Na podłodze przy samych drzwiach. Wezmę cię na rękę, razem go uratujemy i wyniesiemy na dwór.

Bąbelek się zamyślił, ale w końcu skinął głową.

- Chodźmy po żółwia.

- Już się robi, droga pani! - Poglądził Ginny po policzku, ale ona się skurczyła. Rzucił jej pytające spojrzenie, ale nie był to czas na zadawanie pytań. - Idziemy - powiedział, wycofując się spod stołu, więc nie pozostało jej nic innego, jak pójść w jego ślady.

Pospiesznie wydostali się z domu. Metr od budynku znajdowały się stajnie, ale teraz między nimi szczyrzyła się wąska długa szczelina, nie wiadomo jak głęboka. Na szczęście stali od niej w bezpiecznej odległości.

- Drewniane budynki lepiej znoszą trzęsienia niż ceglane - odezwał się Ben. - Dzięki Bogu większość domów na Kaimotu jest z drewna. - Spojrzał w stronę miasteczka, a Ginny domyśliła się, że rozważa priorytety. Medyczne? Oraz to, że jego rodzina jest w dolinie. - Tsunami. - W tej samej chwili rozległo się wycie syren. Każde dziecko wiedziało, co to znaczy.

- Za blisko... - wyszeptała.

- Co jest za blisko?

- Ta fala. Tsunami jest wywołane trzęsieniem ziemi pod dnem oceanu. To trzęsienie było gigantyczne... uskok musi znajdować się równo pod nami.

- Nie będziemy ryzykować - mruknął. - Wskakuj do jeepa.

- Mogę...

- Wskakuj, powiedziałem, albo cię tam wrzucę. Kilka sekund później gnali pod górę, na przełaj przez padoki, nie zwracając uwagi na bramy, które jeep Bena po prostu taranował.

Tsunami. Ginny przytulała wystraszzonego Bąbelka, nerwowo spoglądając na morze.

Udało się. Na wzniesieniu nad winnicą wysiedli, by obserwować fale. Ben miał lornetkę, ale nie chciała tego oglądać. Tuląc Bąbelka, pomyślała, że oto nastąpiła przełomowa chwila. Przypomniała sobie dzień, w którym pojechali z Jamesem do szpitala na badania. Byli prawie pewni, ale... nieprzygotowani. Czy na coś takiego można się przygotować?

- Proszę o szóstej przyjść po wyniki - powiedział onkolog.

Poszli na plażę, pływali, piknikowali, rozmawiali na wszystkie możliwe tematy.

- Jak okaże się, że jestem zdrowy, to zrobimy dziecko. - Tak wtedy powiedział, a ona pomyślała: „Oby to się nie skończyło”, czując, że jednak się skończy.

Ben wybierał jakiś numer w komórce, po czym wycelował lornetkę w kierunku lotniska.

- Przekąźniki padły - stwierdził, spoglądając na wyświetlacz. - Miałem nadzieję, że to krótka przerwa, ale nadal zero sygnału. Przekąźnik powinien być stąd widoczny.

Wyjęła z kieszeni swoją komórkę. Zero zasięgu.

- O Boże.

- Będzie dobrze. Chłopcy na kutrach mają radio. Myślę, że szybko dostaniemy pomoc. - Omiótł wzrokiem okolicę. Z tego wzgórza zniszczenia wydawały się nieduże, ale ona przeczuwała, że gdy dotrą na miejsce, będą mieli pełny obraz katastrofy. - Śmigłowcem to niedaleko. Godzina na zbiórkę, dwie na przelot...

- Przylecą tu?

- Jak nie mają kontaktu ze szpitalem, to przylecą tak czy owak. Kurczę, muszę tam być. - Syreny wyły nadal, a Ginny pomyślała, że gdyby nie ona, już by tam był, nie zważając na zagrożenie wielką falą. - Jeżeli szosa nad morzem jest zniszczona, pojedziemy na przełaj.

- A ogrodzenia? - zapytała drżącym głosem. Ben się uśmiechnął.

- Słyszałem, że właściciel tej farmy bez ostrzeżenia strzela do intruzów.

Tym właścicielem była Guinevere Koestrel.

- Być może zostaniesz rozgrzeszony. - Zdobyła się na blady uśmiech.

- Rozgrzeszenie. Super! - Spowaźniał. - Ginny, pomożesz?

- Oczywiście.

- Posłuchaj, tu chodzi o faktyczną pomoc. Wszystkie chwytaki dozwolone. Zostawimy Babelka z Hannah, pod warunkiem, że Hannah... - Podniósł lornetkę do oczu, pewnie by zobaczyć stary drewniany dom rodziców w centrum miasteczka. - Wygląda, że szpital się trzyma. Mam nadzieję, że sprzęt nie ucierpiał.

Przytaknęła. Tak, on najpierw musi pomyśleć o innych priorytetach niż rodzice i rodzeństwo. Na pewno są dziesiątki rannych.

- Twoim na pewno nic się nie stało - odezwała się z przekonaniem. - Wasz dom jest tak stary i solidny jak mój, a stół macie większy. Wydaje mi się, że to twoja mama mnie nauczyła, że trzeba kryć się pod stołem.

- Szykowałam na dzisiaj gulasz z jagnięciny. Mam nadzieję, że siedzi pod stołem i obiera ziemniaki.

Uścisnęła go, zdając sobie sprawę, że wcale nie było mu do śmiechu. Szybko się jednak odsunęła, by nie pomyślał sobie za dużo.

- Ginny... - Dotknął jej policzka, ale ona wbrew sobie drgnęła. Dlaczego? - Co ten drań ci zrobił? - zapytał.

Rozmawiali o trzęsieniu ziemi, myśleli o nim, czuli wstrząsy, aż tu nagle... to?

- Ginny, ja cię nie skrzywdzę - rzekł łagodnym tonem i jeszcze raz jej dotknął. - Myślisz, że bym potrafił?

Pokręciła głową. Obłąd. Nie odpowie ani teraz, ani nigdy. Przysięgła sobie. Będzie żyła na swoich warunkach. Jeżeli pozwoli na to ten rozdygotany świat.

- Jasne, że ci pomogę w szpitalu.

- Okej.

Czuła jednak, że Ben nie ustąpi. Znał ją lepiej niż ktokolwiek inny. Przerazające.

Było piękne jesienne popołudnie, słońce zachodziło, a trawa pod stopami była soczysta i zielona.

W zagrodach stało bydło, ale zwierzęta co do jednej sztuki stały z podniesionymi łbami. Z powodu syren?

Nie. Z tego powodu, że ziemia się przechyliła i ani człowiek, ani zwierzę nie wiedzieli, co jeszcze może się wydarzyć. W końcu syreny umilkły.

- Syreny są umieszczone w czterech punktach na wyspie - mówił Ben. - Uruchamia je centrum sejsmologiczne na Wyspie Południowej. Podobno sygnał jest niezależny od wstrząsów, a przekazywany via satelita. Jeżeli syreny zamilkły, to możemy przyjąć, że jajogłowi z centrum uznali, że tsunami nam nie grozi. Łaska boska.

- Łaska boska - powtórzyła.

Rzucił jej wymowne spojrzenie, dając do zrozumienia, że widzi więcej, niżby sobie życzyła. Dotarło do niej, że są sprawy, które ich dzielą, a on będzie tak długo nalegał, aż je wyjaśni.

- Ginny, okej. Potrafimy pracować ramię w ramię. Zorientujemy się, co trzeba zrobić i zrobimy to jak najlepiej. Resztą zajmiemy się kiedy indziej.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mimo wszystko najbardziej niepokoiła się o Henry'ego, który teraz mieszkał sam.

- Jego dom stoi na odludziu. Ben, musimy do niego jechać...

- Nie możemy. - Starał się, by zabrzmiało to łagodnie. - Do cypla, jadąc na przełaj, jest stąd siedem kilometrów. Szosa nad morzem będzie zamknięta, a do szpitala ściągają ranni. Przepraszam, Ginny, ale w takich sytuacjach priorytetem jest szpital. Musimy dostać się do miasteczka.

Jej samochód nie nadawał się do jazdy po bezdrożach, więc zostawał jedynie jego jeep. Byli zmuszeni przemieszczając się razem, i w tym samym kierunku.

Henry mieszka sam. Ilu jeszcze starych ludzi mieszka samotnie? Jazda nie nastęczała większych problemów, zwłaszcza że Ben miał w zestawie nożyce do drutu, więc bez truci pokonywali ogrodzenia, a napęd na cztery koła pozwalał pokonywać zwały ziemi.

Wydawało się, że szybko dotrą do szpitala, ale za kolejnym wzgórzem mieszkali jej sąsiedzi, Caroline i Harold Bartonowie. Caroline siedziała na zwalonym kominie i płakała.

- Wrócił po kota - szlochała. - Nie mam siły odwalić z niego tych cegieł, a kocisko... - Wskazała na pokaźnego rudzielca wygrzewającego się na słońcu. - Hooverowi nic się nie stało. Haroldzie...

Spod cegieł wydobyło się stęknienie, a po nim niewybredne przekleństwo.

- Przestańcie zajmować się kotem i zdejmijcie ze mnie te cegły! - Wściekłość mężczyzny była znakiem, że nie jest z nim źle.

Ben wysadził Bąbelka z auta i podał dziewczynkę szlochającej Caroline.

- Bąbelku, to jest pani Burton, która płacze, bo się przestraszyła - wyjaśnił rzeczowym tonem. - Ale teraz pokaże ci swojego kota. Caroline, zajmij się Bąbelkiem. Ginny, potrafisz przerzucać cegły?

- Jasne... - Powinni jak najszybciej dotrzeć do szpitala, ale najpierw należy uwolnić Harolda.

Dokopali się do niego dziesięć minut później. O dziwo, nie odniósł poważniejszych obrażeń.

- Poczujęm, że ten cholerny komin się unosi, więc sam wskoczyłem do tej dziury. Pomyślałem, że albo spadnie na mnie, albo posypie się dokoła. Miałem szczęście.

Bez wątpienia, pomyślała Ginny, podczas gdy Ben opatrywał brzydka ranę na ramieniu Harolda. Należało założyć szwy, ale to mogło poczekać.

Szpital. Jak wygląda sytuacja w miasteczku?

- Obawiam się, że doszło też do złamania - powiedział Ben, obejrzawszy nogę Harolda, ale ten machnął ręką.

- Bardziej się przydasz do czegoś poważniejszego niż pęknięta kostka. Caroline wsadzi mnie na ciągnik i sami za jakiś czas przyjedziemy do szpitala. Z kotem. Z taką nogą nie będę mógł go nawet kopnąć, więc nie mam wyjścia. Doktorze, niech pan jedzie do potrzebujących. - Zwrócił się teraz do Ginny. - Bogu niech będą dzięki za to, że wróciłaś. Jak byłaś mała, zawsze czuliśmy, że tu jest twoje miejsce. I chyba się nie myliliśmy.

Minęli jeszcze trzy gospodarstwa oraz ich przerażonych mieszkańców. Koniec końców na tylnym siedzeniu upchnęli dwie kobiety, dwoje dzieci i dwa psy. Mieli jedynie sińce i zadrapania, ale byli w szoku i rozpaczliwie chcieli znaleźć się wśród ludzi.

- Mam nadzieję, że ktoś już zorganizował punkt dla poszkodowanych - wycedził Ben. - Muszę tam dotrzeć.

Nic z tego. W następnym gospodarstwie zawała się murowana stodoła. Tu też natknęli się na płaczącą kobietę, ale sytuacja nie nastrajała do żartów. Druga z kobiet pocieszała dzieci, reszta usuwała kamienie. Leciwy farmer prawdopodobnie zginął na miejscu.

Zostawili Donalda Martina, owinąwszy go prowizorycznym całunem, a rozpaczającą Florę zabrali do auta, sadzając jej Bąbelka na kolanach.

Bąbelek jest niesamowity, pomyślała Ginny. Ma kapitalne podejście do ludzi. Obcej kobiecie dziewczynka zarzuciła rączki na szyję i powtarzała:

- Niech pani nie płacze, niech pani nie płacze. - Rezultat był taki, że Flora, przytulając ją coraz mocniej, szlochała coraz głośniej. Normalny czterolatek przestraszony odsuwałby się od niej.

Miasteczko było pozbawione lekarza, a od trzęsienia ziemi upłynęło już kilka godzin. Gdy zobaczyli dwa lądujące śmigłowce, Ben nieco się zrelaksował.

- Pomoc z Wyspy Południowej - mruknął, ale Ginny widziała, że mimo to nadal jest spięty.

Gdyby do niej nie przyjechał... żeby pokazać jej wyniki badań Bąbelka...

- Ben, przepraszam - odezwała się.

- Opamiętaj się, Ginny. Daj mi spokój z twoim poczuciem winy. Nie mam do tego głowy.

W duchu przyznała mu rację. To egoizm w takiej sytuacji zajmować się swoim poczuciem winy. Siedzi na tylnym siedzeniu między dwiema tęgimi kobietami i trzyma dzieci na kolanach.

Ben nie ma czasu zastanawiać się nad czyjąś winą. Chwilę później już wjeżdżali do miasteczka, więc i ona przestała mieć na to czas.



Najpierw zobaczyli pomarańczowe słupki drogowe w poprzek ulicy, więc musieli się zatrzymać. Zapadał mrok, ale jeszcze widzieli zarys zburzonych budynków. Na chodniku tuż obok stał samochód całkowicie zasypany cegłami i kamieniami. Może to nawet więcej niż jedno auto, pomyślała Ginny.

Nieopodal nad sklepem zobaczyła sypialnię właścicieli, z atlasową narzutą na łóżku i szlafrokiem pani domu na wieszaku na drzwiach do pokoju. Ulica nie była oświetlona, więc ta scena ginęła w mroku.

Do okna Bena podszedł żołnierz. Uzbrojony!

- Ta ulica to strefa zamknięta - oświadczył. - Dalej pan nie pojedzie. Mam rozkaz nikogo nie przepuszczać.

- Jadę do szpitala na drugim końcu miasta - oznajmił Ben chłodnym tonem. - Jestem lekarzem. Wiozę ludzi, którzy potrzebują pomocy medycznej.

- Przykro mi, ale muszę się trzymać procedur. Niech pan zaparkuje na poboczu, jak najdalej od ruin, i zamelduje się w centrum kryzysowym.

- Centrum kryzysowe? - zapytała Ginny, bo Ben zaniemówił. Wiedziała, co dzieje się w jego głowie. Żołnierze rządzą się na jego wyspie?! - Gdzie jest to centrum kryzysowe?

- Hm... w ośrodku informacji turystycznej - odparł lekko speszony żołnierz.

- Dziękuję - wycedził Ben i zaparkował nieopodal.

Wysadzili swoją przestraszoną gromadkę i poprowadzili ją tyłami zniszczonych budynków tam, gdzie było światło i gwar, do... centrum kryzysowego.

Z tłumem mieszały się mężczyźni w kaskach i pomarańczowych kombinezonach.

Ginny jedną ręką przytulała Babelka, drugą trzymała dłoń Flory, Ben niósł na rękach dwójkę maluchów.

Ci w pomarańczowym, pomyślała, to chyba zawodowcy od zarządzania kryzysowego. Pewnie przylecieli tymi śmigłowcami. Najwyraźniej Kaimotu oficjalnie uznano za obszar klęski żywiołowej.

Po schodach biegła ku nim Abby, też w pomarańczowym kombinezonie. Za nią kroczył jakiś ponury facet, jakby jej pilnował.

- Ben! Dzięki Bogu, że żyjesz! - zawołała. - Tak się martwiłam. Gdzieś ty był? Odchodziliśmy od zmysłów. Twoja mama...

- Cała i zdrowa? - wszedł jej w słowo.

- O ile wiem, tak. Nikomu nic się nie stało. Twój ojciec dołączył do ekipy poszukiwawczej, a w domu mama i Hannah przygotowały żłobek.

- Flora! - krzyknął ktoś z sali.

Kilka kobiet roznosiło kanapki, jedna z nich podbiegła do Flory. Daphne, jej siostra. Ginny odetchnęła z ulgą.

Jak ja je dobrze znam, pomyślała. Nie było mnie tu dwanaście lat, ale je znam. Jestem jedną z nich?

- Proszę zejść z przejścia - poprosił żołnierz, a wszyscy spojrzeli na niego z niechęcią. Ginny także. Hm, pomyślała z niedowierzaniem, jestem taka jak oni.

Potem Ben wziął od niej Bąbelka. To naturalne, że pozwoli mu sobie pomóc.

Ben. Jej przyjaciel. Jej wyspa. W tarapatach.

- Dlaczego nie jesteś w szpitalu? - Ben zwrócił się do Abby. - Kto nim kieruje?

- Wszystko jest chyba pod kontrolą - odparła zdenerwowana. - Przyleciały cztery śmigłowce z personelem, w tym dwóch lekarzy. Margy wzięła na siebie segregację, a pomagają jej nasze pielęgniarki. Jeden śmigłowiec już ewakuował dwie osoby z poważnymi obrażeniami. Jeden z lekarzy, chirurg, operuje teraz Mary Richardson. Ma paskudne

złamanie ramienia. - Głos się jej lekko załamał. - Ben, poznaj Toma Kendricka. Ja... to mój znajomy. Przyleciał z ekipą ratunkową z Wyspy Południowej. Byliśmy na patrolu. Zabrali mnie, bo potrzebowali pielęgniarki, która zna miejscowych. Ja...

Mężczyzna podszedł bliżej, a Ginny zauważyła, jak kładzie Abby rękę na biodrze. Dziwne. Ale sama stała tuż obok Bena, opierała się o niego, obejmowała ramieniem. To dlatego, że chce być blisko Babelka. Nie tylko.

Spoglądając na Abby, w jej rysach dostrzegła stres i strach. Nagle ją olśniło.

- Abby, gdzie jest Jack? Gdzie twój synek?

- W autobusie - wyszeptała Abby. - Właśnie załatwialiśmy śmigłowiec. Tom organizuje zrzut koców i jedzenia.

- Jak to?

- Sytuacja jest pod kontrolą - odezwał się Tom. - Przez jakiś czas było groźnie, bo nie mogliśmy zlokalizować tego autobusu szkolnego, ale już wiemy, gdzie jest. Jeden z kutrów na morzu go zauważył. Został uwięziony na drodze jeszcze za kopalniami. Na szosę w dwóch miejscach osunęła się ziemia, a autobus znalazł się między osuwiskami. Nikomu nic się nie stało, ale możemy ich uwolnić dopiero jutro rano. Stąd ten zrzut. Dostaną też radiotelefon.

- Ta historia skończy się dobrze - rzekła Abby pozornie spokojnym tonem. - O, idzie Hannah. Ginny, przekażesz jej Babelka? Oboje jesteście potrzebni przy rannych. Pospieszcie się. Tom i ja musimy zająć się tym zrzutem, zanim zrobi się ciemno. Tom, idziemy.

Nowa Zelandia jest skazana na trzęsienia ziemi. Służby ratunkowe czuwają tam dzień i noc. Od wielu lat nie zdarzył się tam poważniejszy wstrząs, ale mimo to służby trwają w gotowości.

Ludzie ze śmigłowców działali z kliniczną precyzją. Gdy Ginny i jej towarzysze szli do szpitala przez wymarłe miasteczko, widzieli ekipy przeszukujące dom po domu, często z psami, by się upewnić, że już nikogo tam nie ma.

Ben trzymał ją za rękę, a ona jej nie cofała. To nie czas, by się droczyć. Jeśli Ben potrzebuje wsparcia...

Uśmiechnęła się. Kogo chce oszukać?

- Proszę państwa, proszę iść do centrum kryzysowego - zaskoczył ich żołnierz patrolujący ulice. - Tędy. Tutaj nie jest bezpiecznie.

- Jesteśmy lekarzami - poinformował go Ben. - Musimy dostać się do szpitala.

Nieoczekiwanie dostali wojskową eskortę. Ben dalej kurczowo trzymał ją za rękę, a ona nie miała nic przeciwko temu. Wokół panowała martwa cisza, było ciemno choć oko wykol. Ale za rogiem ujrzeli szpital. I już nie było ciemno.

Szpital stał na wzniesieniu, powyżej miasteczka. Z biegiem lat obok starego, drewnianego budynku postawiono nowoczesną przychodnię, dom dla lekarza oraz niewielki budynek z dziesięcioma łózkami. Teraz wyrosło tam coś w rodzaju szpitala polowego. Ogromny namiot otoczony latarniami zasilanymi przez generatory.

- Lekarze! - zameldował jeden z żołnierzy, podczas gdy drugi szedł im naprzeciw. - Dwoje. Przydadzą się?

- Lekarze? - Zza namiotowej płachty wychylił głowę mężczyzna wyglądający ledwie na osiemnaście lat. - Prawdziwi lekarze?

- Ben McMahan i Ginny Koestler. - Ben podał mu rękę. - Jestem lekarzem rodzinnym, a Ginny anestezjologiem.

- Super! - Mężczyzna zagwizdał. - Dave Marr - przedstawił się. - Służby Poszukiwania i Ratownictwa. Jest tu też Lou Blewit, ale najbliższym śmigłowcem zamierzam odesłać ją z powrotem. Jest też poszkodowany z urazem klatki

piersiowej... trudności z oddychaniem. Przydałby się chirurg klatki piersiowej. Gdybyście mogli pomóc...

Wygląda młodo, ale musi mieć spore doświadczenie, pomyślała Ginny. Dobrze wie, co robi.

Bogu niech będą dzięki za ekipy ratunkowe i za śmigłowce. Gdyby byli tylko we dwoje...

- Możecie przysiąc, że jesteście medykami? - upewnił się Dave, lekko się uśmiechając. - Wyglądacie jak kominiarze. Co was zatrzymało?

- Musieliśmy odkopać parę osób - wyjaśnił Ben. - Bardzo się staraliśmy dotrzeć tu jak najszybciej.

- Dzięki Bogu. Teraz... kopaczy też nam trzeba, ale jeszcze bardziej lekarzy. Zaraz przyjedzie cały transport poszkodowanych. Zajmiecie się nimi?

- Tak - odpowiedzieli unisono.

- Super. Pracujecie w sali operacyjnej, bo ją znacie. Ja zostaję tutaj. Aha, przydałoby się, żebyście się umyli. Na tyłach szpitala podłączyliśmy węże do ogrodowych zbiorników, więc użyjcie trochę więcej środka dezynfekującego, bo Abby mówi, że czasami można w nich trafić na zdechłego oposa. - Zerknął na podjeżdżającą ciężarówkę. - Oto i nasi nowi klienci. Bierzmy się do roboty.

Przez osiem następnych godzin nie mieli chwili oddechu. Większość obrażeń nie należała do groźnych, głównie były to rany szarpane zadane przez spadające kamienie oraz gruz. Na szczęście większość domów na wyspie zbudowano z drewna, bo gdyby były murowane i kryte dachówką, obrażenia byłyby o wiele poważniejsze.

Niektórych należało ewakuować na Wyspę Południową, innych w przyszłości czekały operacje kosmetyczne w celu usunięcia szpecących blizn, ale i tak Ben i Ginny mieli pełne ręce roboty. Pracowali nie razem, lecz obok siebie, zajmując się dwoma pacjentami jednocześnie. Pomagała im Prue,

najmłodsza pielęgniarka na Kaimotu. Gdy jedno z nich miało kłopot, drugie mu pomagało. Umiejętności chirurgiczne Bena pomagały Ginny, ona jako anestezjolog pomagała jemu. Poza tym...

Znalazłam swoje miejsce, pomyślała. Zrezygnowała z medycyny pół roku wcześniej, a teraz znalazła się w niej po uszy. I po raz pierwszy od lat poczuła wdzięczność, że jest lekarzem. Pomagała Benowi ratować Henry'ego, ale wtedy była niezadowolona, że wyciągnięto ją ze skorupy. Tym razem nic takiego nie miało miejsca.

Była zadowolona, że może pomóc, zachwycona, że ma wymagane kwalifikacje. To jej przypomniało pierwsze lata pracy. Zaufanie do kolegów, bezbrzeżny smutek, gdy pacjent umierał, i euforyczną radość, gdy kogoś się uratowało; spotkania w pubie po pracy z kolegami, by się zrelaksować, zrozumieć i umocnić zawodową więź. Jak teraz, kiedy pracuje z Benem.

To się skończyło, gdy poznała Jamesa. Od tej chwili jej życie towarzyskie skupiało się na nim. Rozpoczęła specjalizację z anestezjologii. Nadal była w zespole operacyjnym, ale atmosfera nieznacznie się zmieniła. Stała się dziewczyną starszego specjalisty. James czasami zaglądał na blok, obserwował ją, doradzał, po to, by do wszystkich dotarło, że jest jego kobietą.

Skąd te wspomnienia akurat teraz? Wyjmowała kawałki szkła z kolana siedmioletniej Bei. Dziewczynka tego dnia nie poszła do szkoły, ponieważ miała pojechać do dentysty. Tak się złożyło, że gdy wyspa się trzęsła, Bea musiała wyczołgać się ze sławojki.

- Mama mówi, że wizyta u dentysty i tak mnie nie minie - pożałowała się.

- Uszy do góry - odezwał się Ben od sąsiedniego stołu, gdzie opatrywał rany farmera, który chciał wypuścić świnię z

chlewika, kiedy spadł na niego arkusz blachy falistej. - W domu doktora Dunstana zaważyła się cała frontowa weranda. Niewykluczone, że wizytę wyznaczysz ci za kilka miesięcy.

- Hura! - ucieszyła się Bea.

Jak przestanie działać znieczulenie, będzie ją bolało, pomyślała Ginny. Ale dzieci szybko zapominają. Większość będzie wspominać tę klęskę żywiołową jako wielką przygodę. A inni mieszkańcy Kaimotu? Zniszczenia nie wyglądały na ogromne. Nie było tsunami. Do tej pory stwierdzono trzy ofiary śmiertelne, a były to osoby w podeszłym wieku. Ale jest jeszcze autobus szkolny. Oraz Henry.

- Martw się o to, co przed tobą - odezwał się Ben. Boże, on zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

Myśl sama w sobie była przerażająca, ale, o dziwo, wcale jej nie przerażała.

Powinien koncentrować się na wyspie, na ofiarach śmiertelnych, obrażeniach, zniszczeniu. Zamiast tego pracuje razem z Ginny i czuje, że... tak należy.

Gdy miał siedemnaście lat, wydawało mu się, że ją kocha. Miłość to wielkie słowo, zarezerwowane dla rodziny. Od czasów Ginny miał kilka kobiet, ale ani razu nie była to „miłość”.

Matka sugerowała, że powinien związać się z Abby.

- Zniechęca cię to, że ma dziecko? - zapytała go niedawno, a on zbył ją śmiechem. Wychował się w rodzinie, w której było dwanaścioro dzieci. Gdyby nie lubił dzieci, już dawno by oszalał.

Więc co go powstrzymuje? Kilka razy Abby była jego partnerką na szpitalnych imprezach, kilka razy spotkali się po pracy. Przyjaźnili się, owszem, ale nie zaiskrzyło.

Ale teraz tuż obok pracuje kobieta, praktycznie obca, bo nie widział jej dwanaście lat. Zmieniła się, a mimo to między nimi iskrzy na potęgę. Dlaczego tak iskrzy, jak on pada z nóg?

Dlaczego natężyła słuch, by słuchać jej głosu, jak rozmawia z Beą? Jak ją zdobyć? Jak zbliżnić jej rany zadane przez innych? Jak jej pomóc?

Pożegnali swoich pacjentów w tej samej chwili. Mieli chwilę oddechu, nim Dave skieruje do nich kolejnych poszkodowanych. Prue ledwie trzymała się na nogach.

- Prue, idź do domu - powiedział Ben. - Byłaś bardzo dzielna.

Gdy dziewczyna wyszła, przytulił Ginny.

- Ty też spisujesz się na medal. - Pocałował ją w czubek głowy. - Doktor Koestler, jest pani rewelacyjna. Jako tandemowi nikt nam nie dorówna.

Nie cofnęła się. Jestem wykończona, pomyślała, przytulając się do niego.

Kolejka na zewnątrz zniknęła. Część ludzi udała się do punktu ewakuacyjnego, a ci bardziej uparci do swoich domów. Ale to jeszcze nie koniec, mimo że w tej chwili Dave nikogo do nich nie skierował.

Nie trwało to długo, bo nie mogło. Pod szpital zajechała ciężarówka. Wskoczył z niej Dave.

- Mam dla was jeszcze dwoje pacjentów, potem wszyscy się zwijamy - oznajmił. - Oraz podejrzenie przedwczesnego porodu. Zostanę z tą kobietą, dopóki nie przyleci po nią śmigłowiec. Mam wrażenie, że się ustabilizuje, ale wolę dmuchać na zimne.

- Kto to jest? - zainteresował się Ben.

- Turystka. Była na jachcie w przystani, jak zatrzęsło. - Dave się uśmiechnął. - To dla mnie spora ulga bo miejscowi najpierw chcą Bena, potem Ginny, a na końcu moją skromną osobę. Ale robi się lżej. Mamy ratowników pod telefonem przez resztę nocy, a jutro zmieni mnie inny lekarz. Będzie nas czworo. Jeżeli coś się wydarzy, zawiadomimy was, ale najpierw musicie trochę odpocząć. O świcie ekipy ratunkowe



przywiozą nowych pacjentów, więc znowu zaczniesz się ruch. Macie gdzie spać?

- Mój dom jest na tyłach szpitala - odparł Ben. - Jeżeli wygląda tak jak szpital, to jest nienaruszony. Ginny może spać u mnie.

- Ginny, jeśli ci to nie odpowiada, przydzielę ci namiot - zaproponował Dave, ale odmówiła, mimo że nocowanie w namiocie zapewne byłoby bardziej rozsądne.

Dziś nie chciała być rozsądna. Nadal opierała się o Bena. I dalej chciała, by był jej oparciem. Jednak nie powinna myśleć tylko o Benie.

- Bąbelek...

- Aj, mam wiadomość o Bąbelku! - przypomniał sobie Dave. - Przekazał mi ją jeden z ratowników. Otóż Alisa i Hannah informują, że Bąbelek i Szuracz śpią jak susły - recytował. - Poza tym ktoś przyniósł Ailsie koszyk z kociętami, bo mu się zawaliła pralnia, a Ailsa kocha zwierzęta. I dalej: Ailsa powiedziała, że Bąbelkowi przypadł do gustu czarny z białym noskiem i że Bąbelek chce, żeby też nazywał się Bąbelek. - Uśmiechnął się zadowolony, że udało mu się przekazać tak złożoną wiadomość.

Ginny też się uśmiechnęła. Właśnie to chciała usłyszeć. Nawet pociągnęła nosem.

- Mówisz... mówisz, że jeszcze dwie osoby?

- Z lekkimi obrażeniami - zapewnił ją Dave. - Pan Grubb utknął w magazynie sklepu, bo drzwi się zacięły. Ma ranę na nodze. Trzeba ją prześwietlić, żeby wyeliminować złamanie. Drugi pacjent to sędziwy Squid Davies. Wytropiły go psy pod stertą pułapek na langusty, a chłopcy go przywieźli do nas, mimo że ostro protestował. Mówi, że zapowiadał to trzęsienie, i wszystkim bez wyjątku powtarza: „Przecież mówiłem”. Poradzicie sobie z nim?

Ginny uśmiechnęła się do Bena.

- Z największą przyjemnością - odparł. - I może nawet przyznamy, że należało go posłuchać.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ben zajął się Brianem Grubbem, Ginny Squidem. Wniesiono go na noszach, na których siedział okrakiem, wymachując chudymi nogami.

- Panowie, ja mogę chodzić. Dostałem raz w głowę, a wy mnie traktujecie, jakby mi się coś stało.

Dwaj zwaliści ratownicy przenieśli go na stół. - Panie Davies, proszę się położyć. Chcę obejrzeć guza na pana głowie - powiedziała Ginny.

- Od kiedy to jestem „panem Daviesem”? Jestem Squid, a ty panną Koestrel. Twoi rodzice zadzierali nosa bardzo wysoko, ale słyszałem od ludzi, że ty jesteś w porządku.

- Ja uważam, że jest bardzo w porządku - odezwał się Ben z drugiego końca sali. - A wy? - zwrócił się do ratowników. - Ginny jest w porządku?

Rozległy się pomruki aprobaty. Ze strony ratowników, pana Grubba, a nawet samego Squida. Kurczę, pomyślała, przeżyłam trzęsienie ziemi, przez pół dnia wyciągałam ludzi spod ruin, od wielu godzin tyram jako lekarz, a oni uważają...

- Laleczka - stwierdził Squid.

- Co pan... - odezwał się jeden z ratowników, wpatrując się w jej rude włosy. - Polityczna poprawność nie pozwala nazywać kobiety laleczką. Przystojna? Urodziwa?

- Chyba was pokręciło! - zachnęła się. Była czwarta rano, a ona czuła się jak pijana. Chyba wszystkim im odbija. - Squid, połóż się, bo chcę cię zbadać.

- Nie.

- Squid połóż się, bo ja się tobą zajmę - warknął Ben. - A wtedy będzie bolało.

- Ciekawe, jak to zrobisz.

- Wiesz, ilu żołnierzy jest na zewnątrz? Połóż się, bo poszukamy jakiegoś grubasa, żeby na tobie usiadł.

Ten argument poskutkował.

Dzięki Bogu ktoś, zapewne Margy, dostarczył im karty pacjentów, więc Ginny mogła się zapoznać z chorobami każdego poszkodowanego. Przeglądała teraz kartę Squida. Nie dowierzała własnym oczom. Dziewięćdziesiąt siedem lat. Rak prostaty. Odmowa leczenia. Badania kontrolne co pół roku, raczej mniej więcej, bo słowo „regularność” nie figurowało w słowniku Squida. Zawał dziesięć lat wcześniej. Odmowa stentów i bajpasu.

- Nic mi nie jest. Mam tylko guza na głowie - zrzędził Squid. - Robiłem swoje, aż nagle zwały się na mnie te cholerne pułapki. Ostrzegałem. Mówiłem, żeby ich tam nie stawiali, bo idzie trzęsienie. Doktorze, nie mówiłem?

- Mówiłeś - przyznał Ben. - Ale myślałem, że jak przeczuwałeś trzęsienie ziemi, to się przeniosłeś w inne miejsce, z dala od pułapek.

- Jestem dobry, ale nie aż tak - przyznał Squid. Ginny zaaplikowała mu znieczulenie miejscowe, ale on nie przejmował się raną.

- Miałem rację. Prawda, doktorze, że miałem rację? Ta lekarka Niemka też miała rację, zwijając manatki. Ale pan został. Panna Ginny też. Posłuchaliście mnie? Nie.

- Ale ja nie dostałam w głowę pułapkami na langusty - odrzekła. - Posłuchałam rozsądku. Squid, masz w ranie rybnie łuski!

- Miałem na głowie kapelusz, w nim zawsze są łuski. Nie wiem, gdzie się podział. Będę musiał go poszukać. Wyjmij je, dziecko, i postaraj się, żeby blizna była ładna, chociaż wcale nie zależy mi na wyglądzie. - Odwrócił się, by spojrzeć na Bena. - Nie to co wy. Wcale wam nie przeszło. Jak te króliki.

- Wcale nie - zaperzyła się Ginny. Czowała, że ledwie trzyma się na nogach, ale jednocześnie chciało jej się śmiać. Jak króliki?

- Tak by było, gdyby nie twoja matka, co miała spojrzenie jak bazyliszek. Teraz już możesz. Hm, ale teraz masz dzieciaka. Doktorze, czy to coś zmienia?

- Nie twój interes.

- Wszystko, co dzieje się na tej wyspie, to mój interes. I dlatego was ostrzegałem. Posłuchaliście? Nie. Ludzie zginęli, bo nie posłuchali. - Odwrócił się na plecy i z błogim uśmiechem na pomarszczonej twarzy skrzyżował ramiona na piersi. - Mówiłem wam, mówiłem.

- Ginny, pomożesz mi prześwietlić pana Grubba? - zwrócił się do niej Ben. - Nie chcę wzywać pielęgniarki. Squid, leż i nic nie mów. Obok śpią pacjenci. - Staruszek otworzył usta, ale Ben uciszył go gestem. - Squid, spocznij na laurach. Przepowiedziałeś trzęsienie i się sprawdziło. Leż, przemyśl to sobie i milcz. Zabieramy mojego pacjenta na prześwietlenie i zaraz wracamy, a ty się nie ruszaj, okej?

- Okej.

Ginny wyczuła, że stary Squid nie jest tak odważny, jak udaje. To bardzo stary człowiek. I na pewno się boi. Położyła mu rękę na ramieniu.

- To tylko pięć minut. - Wcześniej dokładnie go przebadła i uznała, że jedynym problemem jest rana na głowie. - Będziesz grzecznie leżał?

- Pod warunkiem, że będziesz się mną opiekować.

- Obiecuję.

- To zabierajcie go na to prześwietlenie. Doktorze, ona jest wyjątkowa, prawda?

- Hm... owszem.

- Słuszna decyzja - stwierdził Squid. - Chyba zaraz coś przepowiem. Chcecie usłyszeć?

- Nie! - odrzekli zgodnym chórem, trochę za szybko.

Prześwietlenie wykazało złamanie.

- Na noc założę panu prowizoryczną szynę - poinformował Ben pacjenta - a dopiero jutro gips, jeśli zejdzie opuchlizna.

- Życzę szczęścia - rzekła Ginny, gładząc pana Grubba po ramieniu, bo coraz mocniej czuła się związana z tą wyspą, po czym wróciła do sali, gdzie czekał Squid.

Leżał odwrócony plecami do drzwi.

- Przepraszam, że trwało to tak długo. Poczula, że coś jest nie tak.

Już kiedyś to widziała.

- Ben! - zawołała. Jeszcze na studiach uczono ją, jak przywołać kolegę lekarza, żeby nie przestraszyć innych pacjentów. Przyłożyła dłoń do szyi staruszka. Nic.

Ben w okamgnieniu znalazł się przy niej.

- Boże, nie powinnam była go zostawiać. - Ciągnęła wózek z defibrylatorem. Gdzie jest laryngoskop? Rurka do tracheoskopii?

Przerażenie stopniowo ustępowało miejsca profesjonalizmowi. Podłączyła końcówki defibrylatora, ale Ben chwycił ją za rękę.

- Daj spokój.

O co mu chodzi?! O monitory? Dowody?

- Ben, nie ma czasu...

- Właśnie. On sobie tego życzył.

- Jak to?! Jest zdrowy. Siedział o własnych siłach. Puść mnie!

- Nie. Nic nie rób. - Trzymał ją za rękę, a czas na ratunek, na cud płynął...

- Puszczaj! Oszalałeś?!

- Nie oszalałem. Ginny, Squid ma dziewięćdziesiąt siedem lat - ciągnął nieustępliwym tonem. - Zostawił jasną instrukcję. Myślisz, że by nam podziękował, gdybyśmy go reanimowali?

- On jest zdrowy. To tylko wstrząs. - Walczyła dalej, mimo że było już za późno. Ben nie pozwolił... - To twój przyjaciel - rzuciła oskarżycielskim tonem.

Ona też jest jego przyjacielem?

Razem łapali kijanki, łowili płastugi... Ben był częścią tej wyspy. Na myśl, że to koniec... Gdy puścił jej ręce, wiedziała, że jest za późno. Z wściekłości miała ochotę kogoś uderzyć. Bena?

- Chyba słyszałaś o deklaracji DNR. Nie podejmować resuscytacji. Squid podpisał ją już lata temu.

- To jest dla ludzi bez szans. - Terapeuta wręczył taką deklarację Jamesowi, ale on podarł ją na strzępy.

Ojciec zareagował podobnie. Pomimo trzykrotnego udrażniania tętnicy wieńcowej, zawału, rozrusznika i defibrylacji odmówił podpisania takiej zgody.

„Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy”. Słowa Dylana Thomasa, mantra i Jamesa, i ojca wpojone jej z dziką wściekłością. Ta złość towarzyszyła jej i teraz. Złość, że ktoś odmawia prawa walczyć dalej...

To dlatego pożegnała się z medycyną. Bo nie mogła wygrać. Bo była za słaba, by wygrać. Decyzja, że nie chce się wygrać, wydawała jej się niepojęta.

- Ginny, on ma dziewięćdziesiąt siedem lat. - Ben położył jej dłonie na ramionach. - Mogło się nam wydawać, że będzie żył wiecznie, ale on był bardzo schorowany. Z powodu artretyzmu nadawał się do domu opieki. Zauważ, że gdy ziemia się zatrzęsła, nie posiadał się ze szczęścia. Jego przepowiednie się sprawdziły, a inni go nie posłuchali. Nie sądzisz, że warto odejść z tak pięknym przeświadczeniem?

Śmierć może być piękna?

- Mogliśmy...

- Po co?

- Trzeba walczyć - mówiła z trudem, nękana wspomnieniami. Wróciły do niej słowa Jamesa...

„Głupia krowo, ustaw mi te leki porządnie. Przecież wiesz, że muszę brać ich więcej. Nic mnie nie obchodzi, co powiedział onkolog! Daj mi więcej. Natychmiast!”.

- Nie, nie trzeba. Reanimacja mogłaby się udać, ale co dalej? Z powodu niedotlenienia mózgu byłby warzywem. Ginny, Squid odszedł w chwili swojego największego triumfu. Można chcieć więcej?

Targał nią gniew, ale jednocześnie dawało o sobie znać potworne zmęczenie. Jakby nagle dopadły ją ze zdwojoną siłą wszystkie emocje piętrzące się w niej od śmierci Jamesa, przebijając jej pancerz.

- Walczę, kiedy chcę zwyciężyć - mówił Ben - ale tej bitwy nie chciałbym wygrać.

- Nie chciałeś, żeby żył?

- Chcę, żeby wszyscy żyli, ale w przypadku dziewięćdziesięciosiedmiolatka wiem, kiedy przestać. Ginny...

- Nie mów do mnie Ginny - wyszeptała.

Dotknął jej policzka, by powstrzymać zbliżający się atak hysterii. Odwróciła głowę, a on znieruchomiał.

- To cię spotkało? James cię uderzył, bo nie potrafiłaś go ratować?

Zapadła martwa cisza.

- Nie - odezwała się zmienionym głosem. Popatrzyła na Squida, na jego twarz, na której malował się błogi spokój, i zrozumiała, że Ben ma rację.

Jest czas umierania, a Squid odszedł w chwili największego triumfu... O tak, taki koniec byłby czymś upragnionym?

Możliwe. Ale dla Jamesa i ojca śmierć była porażką. To dlatego ona zrezygnowała z praktyki lekarskiej. Raz po raz stykać się ze śmiercią...



- Nie - powtórzyła. Zdała też sobie sprawę, że musi zdobyć się na szczerość. - Okej, raz. Pod koniec. Nie myśl sobie, że byłam maltretowaną żoną. Byłam jego wycieraczką. Musiałam znosić wyzwiska, ale on umierał. Po tym, jak mnie uderzył, wyniosłam się z domu. Ale tydzień później zadzwonili ze szpitala, że dostał krwotoku, więc nie miałam wyjścia i wróciłam. Pomiałał mną, bo żyłam, a on umierał. Mogłam tylko cierpliwie czekać na koniec.

- Nie powinnaś tego znosić. - Pogładził ją po policzku. - Umieranie nikomu nie daje prawa do poniżania innych, podnoszenia na nich ręki.

- To jest do pogodzenia.

- Nie, nigdy.

- Ale twierdzisz, że trzeba się godzić ze śmiercią Squida.

- Utożsamiasz śmierć z przemocą? Ginny, dobrze wiesz, że to nie to samo. To nie to samo co cicha spokojna śmierć po bardzo długim zacięciu życia. - Milczał dłuższą chwilę. - To dlatego przygarnęłaś Babelka? Z poczucia obowiązku? Jak wtedy, kiedy wróciłaś do Jamesa?

- Nie - zaprzeczyła, potrząsając głową. - Na pewno nie. Naprawdę uważasz, że jestem taka słaba?

- Nie, ale...

- Wróciłam do Jamesa, bo umierał, a nie miał nikogo, kto by się nim opiekował. Babelka to co innego. To jedyna dobra rzecz, która z tego wynikła. Veronica i James mogli zdradzić, kogo zechcą, ale nie Babelka... Będę ją kochała. Ułożymy sobie życie wolne od ich cieni.

Poruszony do głębi, dotknął jej włosów.

- Tym razem się nie odsunęłaś - zauważył. - Ginny, jesteś wspaniałym człowiekiem. - Zawahał się, spoglądając na Squida. - Zajmę się tym. - Należało dopełnić formalności, a został im jeszcze jeden pacjent. - Jak założysz szynę panu Grubbowi, idziemy spać. Oboje jesteśmy wykończeni. Za

dużo emocji, za dużo pracy, za dużo... wszystkiego. - Położył jej dłonie na ramionach, ale w tym geście nie było przemocy, tylko ciepło i ukojenie.

- Muszę znaleźć Bąbelka.

- Jest z moją mamą i siostrą, w dobrych rękach. Nie będą zachwycone, że je budzisz. Dobrze wiesz, że jak Bąbelek będzie cię potrzebował, od razu cię zawiadomią. Do mnie jest najbliżej. Ginny, przestań walczyć z całym światem. Squid już przestał, więc i ty odpuść.

Było wpół do piątej, kiedy weszła do jego mieszkania. Była tak zmęczona, że ledwie trzymała się na nogach. Powinnam była skorzystać z namiotu, pomyślała, albo pójść do punktu ewakuacyjnego, albo...

Albo odpuścić.

- Łazienka jest tutaj. Jeśli chcesz piżamę, to jest w dolnej szufladzie. Za duża, ale wygodna. W szafce znajdziesz nową szczoteczkę do zębów.

- Jesteś przygotowany na każdą okazję - zauważyła.

- Jestem przygotowany na przyjęcie każdego z jedenaściorga rodzeństwa, które może tu wpaść o każdej porze - odparł oschłym tonem. - Spróbuj mieć rodzeństwo na takiej małej wyspie. Ben, matka zemdleje, jak zobaczy mnie w takim stanie. Ben, chcę mieć chwilę spokoju.

Ben, nikt w domu mnie nie rozumie. To mieszkanie jest azylem McMahanów.

- Szczęściarze - westchnęła, spoglądając na kanapę w salonie. - To mi odpowiada. Dzięki. I dobranoc.

- Śpisz na łóżku.

- Nie zabiorę ci łóżka. Nie ma takiej potrzeby. Będę spała jak kamień.

- Ja też. Zamilkli.

- Podejrzewam - rzucił Ben nonszalanckim tonem - że nie zechcesz dzielić ze mną łoża.

- Ben...

- Nie to nie, ale jest taka opcja - wyjaśnił. - Bałbym się spać z kobietą, której uniesiona ręka kojarzy się z policzkiem.

- Wiem, że tak by nie było.

- Ani z kobietą, która się obawia, że jeżeli coś się wydarzy, zrzucę winę na nią.

Zaniemówiła. To znaczy, że nie wszyscy mężczyźni są tacy jak James i ojciec.

Ben to przyjaciel, ale teraz stoi przed nią i prosi, by mu pozwoliła stać się kimś więcej. Razem w jednym łóżku. Może nawet jeszcze więcej.

- Potrzebujemy snu - powiedziała, ale w głowie miała to „jeszcze więcej”. Niemożliwe nagle wydało się jej możliwe.

Podjąć to, co wydarzyło się tyle lat temu? Poczwała jego dłonie na ramionach. Zaczyna się z tym oswajać. Z nim. Z poczuciem bezpieczeństwa. Z miłością?

Skąd jej to przyszło do głowy? Potrafiłaby zakochać się po raz drugi? Ale zmęczenie tłumilo strach, czujność oraz przeświadczenie, że miłość może odebrać człowiekowi kontrolę nad życiem, popychając w obłądny wir ciemności. Teraz był tylko Ben, który prowadził ją do sypialni.

Powiedział, że może tam spać. Sam. Dlaczego nie? Zaproponował, by spali razem, ale zareagowała strachem, więc się wycofał.

On nigdy do niczego by jej nie zmuszał. Bo ją szanuje. Zależy jej na szacunku? Świadomość, że jego ciało jest na wyciągnięcie ręki...

Fakt, że to właśnie Ben, wszystko zmieniał. Czwała się jak gąsienica w kokonie, który nieoczekiwanie zaczął pękać. Nie była pewna, co jest na zewnątrz.

Ale teraz jest z nią Ben. Jej wspaniały Ben.

Zapomnij, co działo się tej nocy, zapomnij o skorupie, o danym sobie słowie. Teraz liczy się tylko ten mężczyzna.

Odwróciła się w jego stronę. Stali tak blisko, że czuła jego oddech. Bicie jego serca.

- Ben... - Spojrzała mu w oczy. Zrozumiała, że nie musi nic mówić. Wszystko zostało już powiedziane.

- Chyba wiesz, że cię kocham - szepnął. Jej świat stanął w miejscu. Kocha ją?

- Od zawsze - dodał swobodnym tonem. - Może nie zawsze byłem wierny...

- Nie? A ja sobie wyobrażałam, że przez te wszystkie lata usychasz z miłości - odrzekła, udając zdziwienie.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- No nie. Ale jak mokrym workiem na śmieci dałaś Robby'emu Cartwrightowi po głowie za to, że wysypał moje kijanki, a potem na czworaka wyzbierałaś z błota co do jednej, wtedy cię pokochałem. Tak, Ginny Koestrel, miałem inne kobiety, tak jak ty miałaś innych mężczyzn, ale nasza miłość zrodziła się, jak mieliśmy po osiem lat. I chyba tak zostanie.

- Ben...

- Nie żartuję. - Spowaźniał. - Nie mam pojęcia, dlaczego to uczucie wróciło po tylu latach, ale to fakt. Więc gdybyś chciała pójść ze mną do łóżka...

- Ale rano...

- Nie możemy jutro martwić się o to, co będzie rano? - zapytał. - Ginny, liczy się tylko teraz. Mamy za sobą piekielnie trudny dzień. Jak powiesz „nie”, będziemy spali osobno, ale...

- Tak. Mówię „tak”. - Patrzyła na niego uważnie.

Oto przyjaciel na całe życie. Rozstała się z nim z różnych powodów, słusznych i niesłusznych, ale teraz proponuje jej miłość, ciepło i pożądanie. Miłość...

To nie będzie miłość na kolanach, pomyślała. To uczucie zrodziło się z przyjaźni. Serce jej podpowiadało, że to, co

proponuje Ben, nigdy nie zostanie wykorzystane, by ją skrzywdzić, upokorzyć, omotać.

- Dochodzi piąta - szepnęła. - Powinniśmy już spać.

- Nie przeczę.

- Więc musisz się ze mną kochać teraz, bo bez tego nie zasnę. Chyba że na prochach, ale jak jest inna sensowna opcja...

- Ja nią jestem? - Roześmiał się. - Tą sensowną opcją?

- Tak. - Zarzuciła mu ręce na szyję. - Moim Benem. Moim środkiem nasennym.

- Jeżeli uważasz mnie za środek nasenny... - wziął ją na ręce - to jeszcze raz się zastanów. Ha! Środek nasenny! Tego pani trzeba, pani doktor? Czegoś na sen?

- Nie...

- Świetnie. - Położył ją na łóżku, po czym zdjął koszulę.

Widziała go już... w kąpielówkach. Kiedy miał siedemnaście lat. Ale czegoś takiego nie widziała. Tak pięknego ciała... Wstrzymała oddech.

- Ben...

- Słucham?

Wiedziała, że gdyby się wycofała, uszanowałyby jej decyzję. Gdzie kończy się przyjaźń, a zaczyna miłość? Tutaj, pomyślała.

- Chodź tu - szepnęła. - Napracowałeś się już dosyć. Pozwól, że pomogę ci rozpiąć pasek.

Roześmiał się, po czym zaczął rozpinać jej bluzkę, a ona czuła, że jej mózg stopniowo się wyłącza.

Ale nie wyłączył się do końca. Koncentrował się na jednym, cała reszta usuwała się w cień. Trzęsienie ziemi, Bąbelek, pacjenci. Przeszłość i przyszłość. Rzeczywistość kurczyła się do tego jednego mężczyzny pracowicie rozpinającego guziki jej bluzki.

Powiodła dłońmi po jego torsie aż do rozpiętego paska. Mogłaby zsunąć je niżej, ale Ben się nie spieszył, więc i ona zwlekała. Precz z guzikami! Jednym szarpnięciem rozerwała cienką tkaninę bluzki.

- Ojej! Zrobisz to samo z biustonoszem?

- O to musisz się postarać.

Starał się, a ona uśmiechała się uszczęśliwiona.

Płonęła. Nieważne, czy ta noc zostanie skonsumowana, pomyślała, ale przestała tak myśleć, gdy jego palce zsunęły się niżej. Spełnienie stało się ważne. Pożądała go tu i teraz. Bo to był Ben.

Nie zauważyli lekkiego wstrząsu, który postawił na nogi czuwające służby ratownicze i sprawił, że mieszkańców wyspy znowu ogarnął strach.

Za kilka krótkich godzin mieli wrócić do stołów operacyjnych, ale teraz liczyła się tylko noc i ich pożądanie. Liczyli się tylko oni dwoje.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie chciała, by nadszedł świt. Wtulona w Bena pomyślała, że jeśli będzie leżała bez ruchu, czas się zatrzyma. Czowała się bezpieczna i... kochana?

Gdzieś tam za ścianą był realny świat, odpowiedzialność, troski, życie codzienne, ale dla niej życie zatrzymało się w jego ramionach. Nie pragnęła niczego więcej.

Obudził się, odwrócił i ją pocałował. Gorąco i cudownie. Ale potem, wiedziała, że tak będzie, lekko się odsunął. Oboje zdawali sobie sprawę, że nie umkną rzeczywistości.

- Spaliśmy cztery godziny - powiedział.

- Trzy i pół - uściśliła, uśmiechając się.

- Wiem - odparł z udawanym żalem. - Miałem w perspektywie cztery godziny snu, ale nagle w moim łóżku znalazła się uwodzicielka.

- Nie bardzo się jej opierałeś.

- Ginny, musimy się zbierać.

Westchnęła. Zanim dotrze do szpitala, musi jeszcze odnaleźć Hannah, by przywitać się z Bąbelkiem. Ekipy ratunkowe wyruszyły w teren o świcie, więc przyjadą nowi ranni. Boże, niech już to będzie za nami, pomyślała, a wtedy Ben znowu ją pocałował.

- Damy radę - oświadczył. - Cokolwiek ten dzień przyniesie, stawimy temu czoło. Ginny, dzisiaj też będziesz ze mną spała?

Nie dowierzała własnym uszom.

- Ben...

- Wiem, że to za wcześnie. Żyjemy w dużym stresie. Nie pora obiecywać sobie cokolwiek i tego nie oczekuję. Nawet nie proszę o najbliższą noc, ale jeżeli nie będziesz miała nic do roboty albo jeżeli pościel w winnicy jest przysypana gruzem, to potraktuj to jako alternatywę.

Pogładził ją po policzku, pieszcząc ją uśmiechem.

- Jesteś tu mile widziana, Ginny. Nie bardzo wiem, co nas łączy, ale wiem jedno. Chcę dzielić z tobą łóżko. Dzisiaj i zawsze, kiedy będziesz mnie potrzebowała. Na razie nie będę brał pod uwagę swoich potrzeb, bo wiem, że się ich obawiasz. Teraz, Ginny, jestem tutaj. Nigdy cię nie skrzywdzę. Będę... blisko.

Przez kilkanaście godzin w szpitalu panował chaos. Najczęściej mieli do czynienia z ranami szarpanymi; ale zdarzały się też złamania, stłuczenia, krwiaki, zwichnięcia, a także strach. W niektórych przypadkach stwarzał problemy tak poważne jak złamana kończyna. Młoda matka chwilowo sama, bo jej mąż wypłynął w rejs na trawlerze rybackim, była praktycznie sparaliżowana ze strachu, a jej strach udzielił się dzieciom.

Lekarze brali na siebie rolę pomocy społecznej, szukając sposobów rozwiązania podobnych problemów. Młodą matkę powierzono opiece pary starszuchów, którzy mieszkali w pięknym drewnianym domu nietkniętym przez trzęsienie ziemi. Z racji wieku przeżyli niejedno i w najmniejszym stopniu nie przejmowali się kapryсами natury. Przyjęli tę kobietę razem z dziećmi pod swój dach z otwartymi ramionami.

- Niech przyjeżdża. Może tu zostać, jak długo zechce - powiedzieli, gdy Ben poprosił ich o pomoc.

Widząc, jak dla każdego znajduje słowa pocieszenia, Ginny zadała sobie pytanie, jak mogła uwierzyć, że medycyna rodzinna jest poniżej jej możliwości? Jak mogła dać się przekonać ojcu i Jamesowi?

Czuła zachodzącą w niej zmianę. W jej duszy panował zamęt. Taki sam jak ten, który poprzedniego dnia ogarnął Kaimotu. Miniona noc zmieniła bardzo dużo, ale teraz, gdy pracowała z Benem ramię w ramię, zmiana się pogłębiała. Była kompletnie... skołowana.



Tak, to słowo dobrze oddaje stan jej umysłu. Jedyne, co łączy ją z rzeczywistością, to kolejni pacjenci.

Ale było ich coraz mniej, w południe już tylko kilkoro, mogła więc w końcu pomyśleć o innych obowiązkach.

Rozejrzała się. Już tu nie jest potrzebna.

- Ben, mogę pójść do Babelka?

- Jasne.

Rano do szpitala wpadła Hannah, by ją uspokoić, że Babelek ma się dobrze, ale Ginny akurat zakładała szwy, więc nie mogła zostawić pacjenta.

- Myślę, że chętnie by cię przytuliła - dodał.

- Babelek bardzo lubi kogoś przytulić.

- I umie to robić. Teraz masz dwoje przytulających. Pani doktor, niech już pani idzie. - Musnął ją wargami na oczach całego polowego oddziału ratunkowego.

Skup się na tym, co konieczne, nie na emocjach, powiedziała sobie, wychodząc ze szpitala.

Wszędzie kręcili się ludzie. Chaos poprzedniego wieczoru przybierał formę chaosu zorganizowanego. Usuwano gruz z ulic, ekipy chodziły od domu do domu, oceniając zniszczenia i zaznaczając budynki: „Bezpieczny”, „Warunkowo bezpieczny”, „Nie wchodzić”.

Gdy szła, zewsząd pozdrawiali ją miejscowi.

- Cześć, Ginny. Dobrze widzieć, że jesteś cała i zdrowa. Odwalacie kawał dobrej roboty. Dziewczyno, całe szczęście, że wróciłaś do swoich.

Tak, tu jest jej miejsce.

Tego poranka czuła się jedną z nich. Dziwne uczucie. Nigdy nie czuła się związana z jakimś miejscem. Trzeba było klęski żywiołowej, by zapuściła korzenie?

W oddali dostrzegła Hannah z Babelkiem na rękach. Przyspieszyła. Babelek. Jak szybko to dziecko zawładnęło jej sercem. Wieczorem chciała do niej wrócić, ale Ben...

Z wypiekami na policzkach podeszła do Hannah, przejęła od niej dziewczynkę, po czym wtuliła w nią twarz, by ukryć rumieniec.

- Ginny - odezwała się dziewczynka. - Ginny. Cudowne. Jak Veronica mogła porzucić taki skarb?

Ona była z Bąbelkiem od dwóch tygodni i już miała absolutną pewność, że gdyby Veronica zmieniła zdanie, czeka ją zacięta walka.

Trzeba zająć się formalnościami. Wystąpić o adopcję, żeby Veronica nie miała do małej żadnych praw. Ben pomoże.

- Bardzo jesteś zabiegana? - zapytała Hannah, odczekawszy, aż Ginny uwolni się z uścisku Bąbelka.

- Och, przepraszam. Nawet wam nie podziękowałam, że wczoraj... - Serdecznie ją uściskała.

- Przynajmniej tyle mogłam zrobić - odparła z uśmiechem Hannah. - Zawsze robię tyle, ile mogę. Miałyśmy pod opieką szóstkę drobiazgu, ale nie z powodu jakiejś tragedii. To dzieci ludzi, którzy pomagają jak ty i Ben. - Posmutniała. - Wiem, że Squid nie żyje.

- Tak. - Co więcej można powiedzieć w takich okolicznościach?

- Benowi musi być bardzo przykro, bo bardzo lubił staruszkę.

Nie próbował go ratować, pomyślała Ginny, ale tego nie powiedziała. Miał rację, ale chwilę trwało, nim to zrozumiała. Jej reakcja była nielogiczna, ale nadal miała mieszane uczucia. Trzeba walczyć do końca, a jak się przegra... Przegrana.

Hannah przyglądała się jej uważnie, a Bąbelek przytulał z całej siły. Nie oceniając jej. Ben będzie ją oceniał? Otrząsnęła się. Hannah o coś pytała.

Czy jest zabiegana.

- Najgorsze już za nami. Mamy czterech lekarzy, pięć pielęgniarek i chwilowo mało pacjentów. Oby tak zostało. -

Zawahała się. - Pomyślałam, że gdybym miała auto... Henry jest sam w domku na cyplu. Za winnicą. Spotkałam przed chwilą Ellę, jego sąsiadkę, ale jak zatrzęsło, była z mężem tutaj i już do domu nie wracali.

Henry został sam. Wczoraj jechałam przez winnicę z Benem, nawet poprzecinaliśmy ogrodzenia. Należałoby do niego pojechać...

- Skieruj do niego ekipę. - Przeniosły wzrok na grupę ludzi w pomarańczowych kombinezonach.

- To tylko jeden staruszek w małym domku. Szkoda takiej ekipie zawracać głowę. Jak znam Henry'ego, byłby zły, gdybym tam wysłała obcych ludzi.

- Niech się złości.

- Nie. - Ginny wzruszyła ramionami. - Dojazd tam jest prosty i bezpieczny. Wezmę auto ze szpitala.

- Możesz wziąć samochód mamy - rzekła Hannah. - Ma napęd na cztery koła i fotelik dla dziecka.

- Ale dlaczego...?

- No właśnie, dlatego cię szukałam. Jest problem ze szkolnym autobusem. Nic strasznego - zapewniła ją. - Utknął między dwoma lawinami błota. Zniknął im jeden dzieciak, ale o ile wiem, nie ma ofiar. Przywiozą ich łodzią, ale wielu rodziców jeszcze tu nie dotarło. Poproszono mamę i mnie, żebyśmy pomogły. Jak jesteś pewna, że tam, gdzie chcesz jechać, jest bezpiecznie, to może byś wzięła z sobą Bąbelka?

Mogłaby po drodze zajrzeć do domu i wziąć trochę rzeczy, jeżeli mają zostać w miasteczku. Lepiej nie ryzykować. A u Henry'ego...?

W najgorszym razie zastanie tam rannego staruszka, ale przeczuwała, że będzie raczej przestraszony. I zły, że przyjechała? Bąbelek rozładuje sytuację.

- Weź radiotelefon - doradziła jej Hannah. - Szef ratowników je rozdaje. Musisz mu powiedzieć, dokąd się

wybierasz. Oj, pędzę do Bena, żeby powiedzieć mu o tym autobusie. Martwił się o Abby. Powiem mu też, dokąd pojechałaś, dobrze?

Nie powinna zabierać Babelka, ale ryzyko jest niewielkie, poza tym nie ma z kim jej zostawić... A o Henrym nie wolno zapominać.

- Słusznie. - Jeszcze raz uścisnęła Hannah. - Przekaż Benowi, że sobie poradzę. Wszyscy sobie poradzimy. Miejmy nadzieję, że już nic gorszego nas nie spotka.

- Dokąd pojechała?!

- Do Henry'ego. - Hannah aż się skuliła, a on zorientował się, że zareagował przesadnie. Zastanowił się. Droga, którą wczoraj jechali, jest bezpieczna. Ginny ma auto Ailsy sprawdzone w różnych sytuacjach. Poza tym jest rozsądna.

- Wzięła z sobą Babelka. To znowu nim wstrząsnęło.

Ale w dalszym ciągu jest rozsądne. Kobieta z dzieckiem jedzie sprawdzić, co dzieje się z leciwym sąsiadem. Bezpieczną drogą, z radiotelefonem. Jadąc z Babelkiem, będzie jeszcze bardziej rozsądna.

- Mama i ja idziemy na przystań po te dzieci. Pójdiesz z nami? Będzie tam Abby.

Ciągle mnie swata, pomyślał. Ailsa, Hannah i połowa mieszkańców wyspy od kilku lat usiłują wyswatać go z Abby. Nic z tego. Przyjaźnią się, ale żadnej iskry nie było. Takiej jak iskra minionej nocy?

Ginny nękają upiory przeszłości. Ja je uciszę, pomyślał, podczas gdy Hannah czekała na odpowiedź. Nie obawiał się demonów Ginny. Wróciła, więc ma mnóstwo czasu. Ale najbardziej chciałby znowu znaleźć się z nią w łóżku.

- Ginny, tak? - zapytała Hannah.

Żałował, że nie ma czym się zająć. Przydałby się cały autokar rannych, by ukrócić ciekawość siostry, która widzi więcej, niż chciałby pokazać.

- Jesteś pewna, że wzięła radiotelefon?

- Przysięgam. Poszłam z nią do centrum kryzysowego. Jest zabezpieczoną z każdej strony. Podobno Abby przez całą noc pracowała z pewnym bardzo przystojnym ratownikiem medycznym. Nie niepokoisz się o nią?

- Jak jest z bardzo przystojnym ratownikiem, to ani trochę się o nią nie martwię.

- A gdyby to była Ginny? - Hannah uniosła dłonie w pojednawczym geście. - Okej, okej, braciszku, już o nic nie pytam. Chyba nawet nie muszę. No, pędzę do dzieciaków. - Rozejrzała się po prowizorycznym oddziale ratunkowym, gdzie uwijało się kilka osób. - Jak tu taki spokój, to możesz za nią pojechać.

- Nie jestem jej potrzebny.

- To się okaże. Nigdy nic nie wiadomo.

Trzymała się śladów poprzedniego dnia odcisniętych w zielonej trawie. Nie zaglądała do zabudowań po drodze, bo wiedziała, że już zostały sprawdzone. Bez problemu dojechała do swojego domu.

Stał w stanie nienaruszonym. Jedynie dwie zbite szyby, przekrzywione rynny oraz zniszczone schody na werandę. Nic poważnego. Domem wstrząsnęło, ale osiadł z powrotem na fundamentach. Przytulając Bąbelka, czuła dziwne pieczenie pod powiekami.

Dlaczego? To tylko letni dom rodziców, a ona mieszka w nim dopiero pół roku.

Ale tak, to jest jej dom, jej miejsce na ziemi.

A Ben? Ona, Ben, dzieci, psy, rodzina. Tutaj? - pomyślała tęsknie. Zaraz, zaraz. Naiwne marzenie. Emocjonalne i nie oparte na faktach.

Ale minioną noc to fakt. Ben powiedział, że ją kocha. Tyle kłębiących się emocji. Wczoraj ziemia się zatrzęsła, ale teraz jej świat odzyskał równowagę.

- To jest dom - szepnęła do Bąbelka. - Duży, solidny i bezpieczny. Możemy tu mieszkać do końca świata.

Kuchennymi drzwiami weszły do środka. Gdy Ginny odkręciła kurek węża ogrodowego, okazało się, że o dziwo jest woda i jest ciśnienie. Ulubionym zajęciem Bąbelka nadal było podlewanie późnych odmian pomidorów, które już mocno przywiędły.

- Daj im pić. Dużo - poleciła małej, by mieć chwilę czasu na spenetrowanie domu.

Musi tylko unikać belek stropowych. Weźmie trochę rzeczy, które mogą się im przydać, jeśli mają nocować w miasteczku. Z Benem?

Nie myśl o tym, bo to trochę... straszne. Zajmij się tym, po co przyjechałaś. Rób, co masz zrobić i wracaj do szpitala. Mogą jej tam potrzebować. Zbaczanie do domu wydało się jej trochę nieodpowiedzialne.

Ale Henry też może jej potrzebować.

W ostatniej chwili wzięła z garażu nożyce do drutu, po czym zapakowała mokrego Bąbelka do jeepa i ruszyła do Henry'ego. Po drodze nie napotkała żadnej szczeliny ani głębokich kolein. W jednym tylko miejscu trafiła na niewielkie osuwisko częściowo blokujące drogę.

- Nic to dla nas, Bąbelku - powiedziała, objeżdżając przeszkodę. - Zaraz będziemy u Henry'ego. Będzie dobrze.

Gdy znalazły się na wzniesieniu z widokiem na dom Henry'ego, okazało się, że wcale nie jest dobrze.

Ben zaczynał się denerwować. To logiczne, że Ginny pojechała do Henry'ego i że zabrała z sobą Bąbelka. Nie miała go z kim zostawić, a poza tym jest rozsądna.

Więc dlaczego się denerwuje?

Nie dlatego, że nie ma nic do roboty. Dzieciaki ze szkolnego autobusu były posiniaczone i pokiereszowane. Żadne poważnie nie ucierpiało, ale ich rodzice mieli za sobą

nieprzespaną noc, kiedy wyobrażali sobie najgorsze, więc należało opatrzyć każde draśnięcie.

Poza tym dla przestraszonego pięcioletka każdy opatrunek był jak honorowa odznaka, sygnał dla całego świata, że uczestniczył w czymś niebezpiecznym. Ma to też efekt terapeutyczny, pomyślał Ben, przyklejając dużo za duży plaster na ramieniu małego Rowana. Środka dezynfekującego też nie żałował. W końcu oddał w ręce rodziców chłopca z ramieniem pomalowanym na pomarańczowo, z wielkim plastrem. I w dobrym nastroju.

Kolejka małych pacjentów nagle się skończyła.

- Chyba jest nas trochę za dużo - zauważyła Margy, usuwając pojemniki. - Tylu pomocników... Ci ludzie są super. Cztery zgony, pięć poważnych przypadków, a lżejsze napływające na tyle stopniowo, że od razu mogliśmy się nimi zająć. Słyszałam, że większość budynków już została sprawdzona.

- Należało wysłać jedną ekipę do Henry'ego - mruknął, na co Margy ściągnęła brwi.

- Ella i Max u niego nie byli?

- Nie. Przenieśli się tutaj, do córki. Już wcześniej.

- Poproszę któregoś z ratowników...

- Nie trzeba. Ginny do niego pojechała.

- Aha. - Margy przyjrzała mu się uważnie. - Dlatego jesteś taki rozkojarzony?

- Nie jestem rozkojarzony. - Wzruszył ramionami lekko się uśmiechając. - Tylko trochę.

- Chcesz za nią pojechać? - zapytała Margy. - Nie powinna być tam sama.

W tej samej chwili wszedł mężczyzna z ekipy poszukiwawczej z ręką na temblaku. Należało się nim zająć, bo lekarze ze śmigłowca właśnie mieli przerwę.

- Nie mam kiedy - mruknął.

- A jak tamci lekarze wrócą z przerwy?
- Ginny będzie już z powrotem.
- Powinna. - Margy uśmiechnęła się półgębkiem. To możesz przestać się martwić.
- Przeze mnie i ty się teraz martwisz.
- Ginny jest rozsądna - powiedziała cicho.
- Nie mamy powodu do zmartwienia.
- Ale gdyby to był mój Charlie, tobym się martwiła wyznała. - A to, co do niej czujesz...
- Margy! Nie czuję...
- Czujesz, czujesz. Wydaje ci się, że na tej wyspie można razem spędzić noc i nikt tego nie zauważy? Wy starczy pięć minut, żeby wszyscy się dowiedzieli.
- Margy, byliśmy wykończeni. Wygodniej było, żeby przenocowała u mnie.
- Oczywiście - przyznała Margy. - Ale jeśli spałeś na kanapie, to ja jestem chińska królowa. Gdybyś nie czuł do niej tego samego, co ja czuję do Charliego, to nie miałbyś takiej miny...
- Margy, przestań.
- Tak jest, doktorze. Pan ma zawsze rację. Ale chodźmy opatrzyć to ramię, żebyś mógł pojechać na odsiecz swojej damie.

Domek Henry'ego był w opłakanym stanie. Zanim jej rodzice zatrudnili go w winnicy, prowadził niewielką farmę, ale potem ją zaniedbał. Z winnicy wyprowadził się pół roku temu.

Siedziba Henry'ego bardziej przypominała wielką stodołę ze zmurszałych desek zbitą zardzewiałymi gwoździemi niż dom mieszkalny. Odwiedziła go tu dwa razy i za każdym razem ogarniało ją przerażenie, ale Henry o przeprowadzce nawet nie chciał myśleć.



Teraz mogło być już na to za późno. Cała konstrukcja po prostu się rozpadła. Prawdopodobnie komin, padając, pociągnął za sobą resztę.

Wyglądało to jak sterta drewna przygotowana na sporych rozmiarów ognisko.

Gdzie jest Henry?

- Bąbelku, zostań w samochodzie. - Podała dziewczynce żółwia Szuracza. - Tylko zajrzę...

- Do Henry'ego - dokończył Bąbelek.

Ciekawe, ile ta mała rozumie. Henry przyjechał kiedyś do winnicy, by nauczyć ją, jak przycinać winorośl; pokazał Bąbelkowi, jak z deszczulek zrobić domek dla żółwia, a ostatnio, kiedy odwiedziły go w domu po pobycie w szpitalu, poczęstował Bąbelka jej ulubionym napojem truskawkowym.

- Nie wiem, gdzie on jest. Ale ty nie wysiadaj z auta.

- Okej - odparła pogodnie dziewczynka.

Ginny zostawiła otwarte drzwi, by dziecko miało lekki przewiew. Gdzieś w tym rumowisku stary człowiek...

Dokoła panował spokój. Z końca cypla w pogodne dni można było dostrzec zarys Wyspy Południowej. Wysoko nad jej głową kołował orzeł, jakby zrezygnował z łowów, by napawać się ciepłem słońca. Czy w taki dzień może wydarzyć się coś okropnego?

- Henry... - zawołała półgłosem. Nic. Po raz drugi krzyknęła głośniejszym głosem. - Henry!

- No, nareszcie. Już myślałem, że przyjdzie mi uciąć sobie nogę nożem do kopert, ale nie mogę go dosięgnąć. Przyjechałaś, dziewczyno, żeby mnie wyciągnąć?

Zawsze tak się do niej zwracał.

Z ciężkim sercem podeszła jak najbliżej, by się zorientować, skąd dobiega głos. Powinna była zmusić go do pozostania w winnicy. Nagle przyszło jej do głowy że Henry w większym stopniu był dla niej rodzicem niż jej matka i

ojciec. Henry w winnicy, Ailsa w miasteczku. Ben... to jej najbliżsi.

- Jesteś ranny? - Szła za jego głosem.

- Przygnieciony. To cholerne pianino przygniotło mi nogę. Ale mogę poruszać palcami. Leżę na boku. Nigdy na nim nie grałem. Żona je kupiła tylko dlatego, że ładnie wyglądało.

Głos miał silny, ale wyczuła w nim również ból. Jak go wydostać? Spoglądała na ogromne arkusze blaszane go pokrycia dachu nakrywające rumowisko.

- Zadzwoń po pomoc - powiedziała. - Wytrzymasz jeszcze trochę?

- Załatwisz mi to urządzenie do kroplówek? Przez jakąś szparę mogłabyś mi podać trochę piwa. Od razu lepiej bym się poczuł.

- Dochodzisz do siebie po wrzodach żołądka - przypomniała mu. Zlokalizowała go, bo głos dobiegał od strony podstawy głównego komina zasłoniętej pogniecioną blachą. - Alkohol nie dla ciebie!

- Tak jest, psze pani. Ale wezwiesz pomoc?

- Jasne.

- Ben!

Właśnie skończył zakładanie szyny mężczyźnie ze złamaną ręką. Było to bardzo brzydkie złamanie wymagające działań chirurga z prawdziwego zdarzenia, ale przynajmniej ulżył człowiekowi w bólu. Zabrał się do uporządkowania stołu, kiedy wszedł Don Johnson, szef miejscowej straży pożarnej.

- Można słówko?

- Mów. A ty, Mac, zaczekaj. Zabierze cię śmigłowiec.

- Będzie za pół godziny. - Don ze współczuciem spojrział na Maca. - Dostałeś porządny środek przeciwbólowy? Wytrzymasz pół godziny?

- Oczywiście - odparł Mac. - To tylko złamane skrzydło. Dalej mogę machać szuflą.

- Szufłowy mi niepotrzebny - oświadczył Don, ale w jego głosie krył się niepokój. - Za to potrzebujemy więcej aut. Przed chwilą Ginny skontaktowała się z bazą. Jest na cyplu, a Henry leży pod zawalonym domem. Zbieram ekipę. Dołączysz do nas, jak będziesz wolny?

- Jestem wolny.

Minuty wlokły się w nieskończoność. Nic nie mogła zrobić, więc siedziała nieopodal miejsca, gdzie leżał Henry, trzymała Bąbelka na kolanach i rozmawiała. Gdyby wdrapała się na rumowisko, by odsunąć poszarpane kawały blachy, ryzykowałyby, że jeszcze bardziej go zasypie. Była zmuszona siedzieć i czekać, ale Henry zdawał sobie sprawę z sytuacji.

- Możesz mi powiedzieć, dlaczego nie wróciłaś? Hm, to ona powinna zadawać mu pytania, wyciągać odpowiedzi, starać się odwrócić jego uwagę.

- Wróciłam.

- Miałaś siedemnaście lat... Od tej pory co lato przyjeżdżali tylko twoi rodzice i udawali jaśniepaństwo. Dlaczego bez ciebie?

- Chyba nie chciałam się bawić w jaśniepaństwo.

- A może się bałaś, że nasz Ben jeszcze bardziej ci zwróci w głowie? Tak twierdziła moja żona. „Świata za tym chłopakiem nie widzi. Jeżeli przyjedzie tu za rok, to już nikt ich nie rozdzieli. Zobaczysz”. Ale się nie pokazałaś. Czym cię Ben tak wystraszył?

- Niczym. - Aby zająć czymś Bąbelka, wzięła wianek ze stokrotek. Siedziała jak najbliżej Henry'ego.

- Coś musiało być. - Mówił z wysiłkiem, a ona się zorientowała, że z trudem zbierał myśli. - Nie musisz mi mówić, ale żona mówiła, że światą poza sobą nie widzieliście. A ty zniknęłaś. Naszym zdaniem to było głupie.

- Przerosło mnie - szepnęła.

- Jesteś tam? - Henry podniósł głos, więc oprzytomniała. Musi zabawiać go rozmową.

Może pora powiedzieć, jak było?

- Bałam się tej miłości. Miałam siedemnaście lat. Zwierzyłam się matce, że kocham Bena, a ona się roześmiała. I powiedziała, co mnie spotka, jak... jak zrobię głupstwo.

- Co miało się stać? - Ledwie mówił, a ona wpadła w panikę. Nie potrafiła mu pomóc, ale mogła powiedzieć prawdę.

- Ojciec miał szerokie znajomości. Był najlepszy w swojej dziedzinie, a do tego bardzo bogaty.

- Tego się domyślałem.

- Miał znajomych na całym świecie, we wszystkich szpitalach klinicznych, miał przyjaciół w Auckland. Tamtego lata jego gościem na Kaimotu był dyrektor do spraw szkolenia w głównym szpitalu w Auckland. Dał mi do zrozumienia, że wystarczy jedno jego słowo, że dla chłopaka z takim pochodzeniem jak Ben lepsze byłoby pielęgniarstwo. To jego słowa, nie moje. Powiedział, że to dobrze, że taki chłopak ma aspiracje i może marzyć o czym chce, ale nie o jego córce. A jeżeli się uprze, żeby zdawać na medycynę, nie będzie miał najmniejszej szansy. Więc bądź grzeczna, Ginny, zerwij z nim i zajmij się swoim życiem.

- I tak zrobiłaś.

- Tak zrobiłam. Oczywiście, miał rację. Mieliśmy po siedemnaście lat. To wydawało mi się sensowne. Studia medyczne podobnie, a moje uczucia naiwne. Zerwałam z Benem, jakby to była moja decyzja. Ale zabrakło mi odwagi, żeby do niego napisać, podtrzymać kontakt. Potem poznałam Jamesa. To było proste wyjście. Teraz bardzo tego żałuję.

Przestraszyła się, bo Henry nie odpowiadał.

- Henry...?

- Jestem, jestem. - Zabrzmiało to niemal łagodnie. - Ben też mógł napisać. Żałuje, że tego nie zrobił?

- Nie wiem - odparła speszona.

- Na pewno nie. To facet. Może to seksizm, ale kobiety mają inaczej. Moja żona kiedyś stłukła najlepszy półmisek, odziedziczony po babci. Stała nad kilkoma kawałkami porcelany i lamentowała: „O Henry, przepraszam, przepraszam”. Jakby było za co przepraszać mnie albo duchy przodków. Stała się komuś krzywdą? Durna baba. Kurde, ale to pianino ciężkie. Myślisz, że przyjadą?

- Na pewno. - Daleko na horyzoncie dostrzegła sylwetkę jeepa. - Wydaje mi się, że jedzie Ben.

- Dzięki Bogu - mruknął Henry. - Trochę morfiny dobrze mi zrobi. Mam nadzieję, że wiezie nożyce do blachy.

- Albo dźwig. - Wstała, by pomachać nadjeżdżającym. - Przepraszam, że nie mogłam ci pomóc bardziej.

- Oj, kurde, mam gdzieś twoje przeprosiny - zachnął się. - Zapomnijmy o przeszłości i przyznajmy się, że niczego tak nie pragniemy jak Bena.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ben był sam. Wezwała posiłki, a jechał tylko Ben. Dobrze jej zrobiło, gdy ją przytulił, ale oczekiwała czegoś więcej. Czy admirał Wellington miał takie problemy? Czy rozkaz: „Czwarta dywizja piechoty na front!” oznaczał wystawienie czwartej dywizji, dopiero jak dywizja zje i z powrotem naciągnie oficerki? Czy jak dywizja upora się z takim drobiazgiem jak pięć dywizji Francuzów?

Coś musiało się stać. Kolejna katastrofa, bo nie widać posiłków. Z Babelkiem na rękach obeszała z nim rumowisko, szukając miejsca, przez które Ben mógłby się wcisnąć. Wszędzie niebezpiecznie, ale głos Henry'ego słabnie z każdą chwilą.

Nagle ku ich przerażeniu usłyszeli jego płacz. To nie był szloch osoby oplakującej stratę kogoś bliskiego, ale zawodzenie wywołane bólem nie do wytrzymania.

- Przepraszam - wykrztusił. - Nie, nie mów Ginny, że przepraszam, ale to pianino jest takie ciężkie...

Ben sięgnął po radiotelefon.

- Kurczę, gdzie wy jesteście?!

- Kościół się zawalił - warknął Don. - Pod gruzami mamy trzy starsze kobiety. Chciały uratować wystrój ołtarza, mimo że na zewnątrz jest napisane, żeby tu nie wchodzić! Wydostaniemy je, ale ziemia za kościołem się obsunęła i zablokowała nam pojazdy. Nie, to nie nowy wstrząs. Grunt za kościołem chyba czekał od trzęsienia, żeby akurat dzisiaj się obsunąć. Organizujemy inne samochody. Myślę, że u was będziemy za jakieś pół godziny.

- On nie wytrzyma - szepnęła Ginny. Na czas rozmowy stanęli za jeepem, by Henry ich nie słyszał. - Ben, tam z tyłu jest spora szpara. Jak potrzywasz Babelka, to...

Już zauważył tę szparę pod wygiętą blachą. Poświecił tam latarką, ale zobaczył tylko gruz. Od tego miejsca do Henry'ego

były ze trzy, cztery metry. Gdyby do niego dotarł... choćby do jego ramienia albo nogi, mógłby mu podać środek przeciwbólowy, a przynajmniej byłby bliżej niego. Na pierwszym roku stażu pewna stara pielęgniarka, wyznawczyni starej szkoły, wpoila mu zasadę: Po prostu bądź.

- Doktorze, niech się pan nie boi bliskości. Te wszystkie nowe leki i procedury są mniej skuteczne niż bezpośredni kontakt z pacjentem. Niech pan to sobie zapamięta.

Zapamiętał. Na zawsze.

Rozmawiali z Henrym. Ginny udało się nawet namówić Bąbelka, żeby mu zaśpiewał „Sto lat"! To na pewno pomogło, ale gdzie dotyk?

- Nie, ty nie pójdziesz - powiedział Ben. - Ja pójdę.

- Nie! - zaprotestowała.

- Dlaczego ty możesz, a ja nie?

- Jestem mniejsza. - A ja silniejszy.

- Jak zawali się reszta dachu?

- Co z tego? Dobrze wiesz, że jak szybko nie podamy mu leków, to go stracimy. Słyszałaś, jak mówi. Wśliznę się pod tę blachę.

- Nie!

- Ginny, zgadzam się, że to ryzykowne, ale nie zapominaj, że jestem kawalerem bez zobowiązań, a ty, kochana, czy ci się podoba, czy nie, jesteś matką dziecka specjalnej troski. Twoim zadaniem jest pilnowanie domowego ogniska, opieka nad dziećmi i przygotowanie kapci oraz fajki na powrót męża z pracy.

Mimo powagi sytuacji wybuchnęła śmiechem.

- Tak, tak, moja droga. Jak stąd wyjdę, będę oczekiwał gulaszu z kopytkami. - Przekładał rzeczy z plecaka do kieszeni: strzykawki, fiolki, opatrunki. Na pożegnanie ją pocałował. Krótko i namiętnie.

Na początku pomagała mu, w miarę jak oboje wsuwali się pod warstwy blachy, odkładając na bok to, co jej podawał. W pokoju natknęli się na coś, co zapewne było blatem, na którym blachy się oparły, nie opadając na podłogę.

Usunąwszy gruz, nareszcie mogli zapoznać się z sytuacją. Blat był za niski, żeby Ben mógł się pod niego wcisnąć, ale też nie byli w stanie go przesunąć. Nawet nie próbowali, bo wówczas dach mógłby zwalić się jeszcze bardziej. Ben postanowił precyzyjnie się obok.

Zadanie brudne, niebezpieczne, ryzykowne. Ale Henry przestał się odzywać, więc Ginny nie pozostało nic innego, jak panować nad własnym strachem.

Było jej niedobrze, ale poczuła się jeszcze gorzej, gdy Ben przedostał się na drugą stronę, mruknął coś z zadowoleniem i poczołgał dalej, a ona straciła go z oczu. Ogarnęło ją uczucie bezradności.

Wróciła do Bąbelka i ponownie zajęła się pleceniem wianków, ale robiła to machinalnie. Wpatrywała się w zawalony dach, wpatrywała w drogę prowadzącą do miasteczka. Boże, żeby się nie obsunął. Boże, żeby już przyjechali.

- Odezwij się.

- Trudno konwersować z gębą pełną gruzu - burknął. - Henry, już rozumiem, dlaczego nic nie mówisz. Możesz chociaż zagwizdać, żebym wiedział, gdzie jesteś?

Gdy rozległo się słabe gwizdnięcie, Ginny uśmiechnęła się, po czym ze zdwojoną energią wróciła do plecenięcia wianków.

- Ktoś musi zabawiać nas rozmową - usłyszała stłumiony głos Bena. - Ginny, coś nam opowiedz.

- Bajkę! - ucieszył się Bąbelek. Coś im opowiedzieć? Ale co?



Ben czołga się przez rumowisko, Henry leży przygnieciony pianinem, a Bąbelek spogląda na nią wyczekująco. Zdarzało się jej działać pod presją, ale nie aż taką!

- Dawno, dawno temu... - zaczęła.

- Lubię bajki. - Bąbelek usadowił się wygodnie na jej kolanach.

- Bądźmy cicho - fuknął Ben. - Cichutko, Bąbelku, wszyscy chcemy posłuchać.

Bajki nie muszą być wytworem fantazji, pomyślała Ginny, szukając natchnienia. Mogą być prawdą.

- Dawno, dawno temu była sobie dziewczynka o imieniu Ginny... - Bąbelek aż zapiszczał z radości, po czym speszony zasłonił buzię. - Rodzice przyjeżdżali z nią na tę wyspę, ale ona czuła się bardzo samotna. Nie miała koleżanek ani kolegów, za to miała śliczne ubrania.

- Dobrze pamiętam te szmatki - usłyszała głos Bena. W tej samej chwili rozległ się huk i zgrzyt metalu o metal. Ginny zamarła. Musiała się jednak zmobilizować, by wywiązać się z zadania bajarki.

- Rodzice Ginny byli bardzo zajęci. Zawsze byli zajęci, więc poszukali kogoś do opieki nad córką. Ta pani miała na imię Ailsa i synka o imieniu Ben. Gdy Ben po raz pierwszy zobaczył Ginny, pokazał ją palcem i parsknął śmiechem.

- Wcale nie parsknąłem.

- Dlaczego? - zainteresował się Bąbelek.

- Śmiał się z mojej białej plisowanej spódniczki.

- Nieładnie - orzekł Bąbelek.

- Ten chłopiec nie był grzeczny - przyznała Ginny - ale później zabrał dziewczynkę na kijanki. Widziałaś kijanki. Łapałyśmy je w zeszłym tygodniu, pamiętasz?

Bąbelek przytaknął. - Ładna ta bajka.

- Pod warunkiem, że dalej będzie już tylko o grzecznym chłopcu - odezwał się Ben spod ruin. - Henry, możesz mruknąć? Niedługo do ciebie dotrę.

- Mruknąłem - wykrztusił Henry. - Wystarczy? Mów dalej, dziewczyno.

- Zabrał mnie na kijanki. Pod miasteczkiem jest pole, a na nim niewielkie jezioro. Supermiejsce do łowienia kijanek.

- Znam to jezioro - zachrypiął Henry. Można było odnieść wrażenie, że jest u kresu sił. - Ben, blisko jesteś?

- Mam jeszcze koło metra. Mów dalej, bajarko... Osunął się kolejny płat blachy. Jeżeli coś się stało... Dalej, bajarko.

- No więc Ben zabrał Ginny nad to jezioro i powiedział, że najlepsze kijanki są przy drugim brzegu. W pobliżu znaleźli starą wannę. Nie mam pojęcia, dlaczego Ben powiedział, że to bardzo dobra wanna i nadaje się na łódkę. Ale nie miała korka.

- Nie miała korka? - zdumiał się Bąbelek, a Ben parsknął śmiechem.

- Bąbelku, cichutko - upomniał ją z udawaną powagą. - To bardzo ładna bajka. I pięknie się kończy.

- Sam bądź cichutko! - odcięła się Ginny. Czuła, jakby Ben stał obok niej i się uśmiechał. - Więc Ben ulepił kulkę z gliny zmieszanej z trawą, żeby zatkać otwór w wannie. Wszedł do niej i odpychając się kijem, popłynął na drugi brzeg i z powrotem. Poszło mu to bardzo szybko.

- Stary numer - mruknął Henry. - W dzieciństwie też tak robiłem. Miałem przez to dużo kłopotów. Aj!

- To ja dotknąłem twojego ramienia - uspokoił go Ben. - Widzisz światło latarki?

- Czy widzę? Bogu niech będą dzięki - odparł Henry łamiącym się głosem. - Chłopcze...

- Nie ruszaj się. Jestem na tyle blisko, że mogę ci zrobić zastrzyk ze środkiem, który złagodzi ból.

- Boję się zastrzyków - odparł Henry różnym głosem. Wrócił dawny Henry. Kontakt z człowiekiem... to najlepsze lekarstwo pod słońcem.

- Bądź mężczyzną i znieś to dzielnie. Ginny, pospiesz się. Przejdź do tego, co najciekawsze.

- Ben wrócił do Ginny. Kazał jej zrobić nowy korek z gliny i trawy i zatkać dziurę. Potem zepchnął do wody wannę razem z Ginny i pokazał jej, jak ma się odpychać. Jeziorko nie było głębokie, ale bardzo muliste, a Ginny nie umiała odpychać się kijem. Posuwała się bardzo wolno, więc korek z gliny zaczął przepuszczać.

- Co to znaczy? - zapytał Bąbelek.

- To znaczy, że Ben ją oszukał - powiedziała Ginny teatralnym tonem. - Woda zaczęła wlewać się do wanny, a Ginny stała i krzyczała, żeby Ben jej pomógł, ale on stał na brzegu i się śmiał, a ona zanurzała się w błocie. Ubrudziła się jej śliczna plisowana spódniczka, ubrudził się różowy sweterek, a w jej pięknych rudych włosach nawet znalazła się kijanka. Wtedy Ben wszedł do wody i ją uratował...

- Uratował ją! - szepnął Bąbelek.

- Uratował kijankę - sprostował Ben, po czym wraz z Henrym zachichotali.

Ginny zamilkła. Surrealistyczna sytuacja. Taki piękny, wręcz sielankowy jesienny dzień. Ale pod gruzami jeden człowiek walczy o życie, a drugi naraża swoje, by go ratować.

- I ona płakała?

Pytanie Bąbelka wyrwało ją z zadumy. Co było dalej? Wróciło wspomnienie, jak się czuła ośmiolatka cała w błocie, podczas gdy obcy chłopiec wyplątywał jej z włosów kijankę. Wiedziała, że w domu rodzice na jej widok nie będą kryli oburzenia, wiedziała, że została oszukana, wiedziała, że wygląda okropnie.

- Nie, nie płakała, bo Ben uratował kijankę. Tak jak teraz ratuje Henry'ego.

- Porównujesz mnie do kijanki? - zapytał Henry głosem zmienionym pod wpływem środka przeciwbólowego.

- Skądże znowu. Ale zauważ, że ratuje cię bohater. Każda bajka ma swojego bohatera.

- I bohaterkę. A potem żyją długo i szczęśliwie. To o tobie, dziewczyno. Jesteś na to gotowa?

- Najpierw musimy was wydostać spod tego dachu. Potem zobaczymy.

- Brzmi to obiecująco - zauważył Ben, ale jego głos brzmiał dziwnie, jakby i jego coś bolało. - W tej twojej bajce... bohaterka zakochuje się w bohaterze?

- Być może. Być może poznała pierwszą w swoim życiu osobę, dla której ważniejsze były kijanki, a nie plisowane spódniczki.

- Dziwaczne - mruknął Henry.

- Może i dziwaczne - przyznał Ben - ale bardzo ważne. Czy ta bohaterka pokochała tego bohatera?

- Tym najlepszym to się zdarza - szepnęła.

- Słucham?

- Tym najlepszym to się zdarza! - krzyknęła. Zdecydowanie za głośno, ale trudno. Jej Ben leży pod gruzami i tylko to się liczy.

- Jedzie auto - zameldował Bąbelek.

Ginny przeniosła wzrok na dolinę. Rzeczywiście. Dwa samochody!

- Nadciąga kawaleria - poinformowała przysypanych. Don Johnson i strażacy. - Teraz zajmiemy się uwalnianiem was. Bajki będą później.

- Koniecznie - odparł Ben. - Czuję, że zakończenie będzie bar...

Nie dokończył - bo nastąpił silny wstrząs wtórny. Przetoczył się przez całą wyspę. Żelazny szkielet domu uniósł się i przesunął.

Ben krzyknął, ona zaś chwyciła Bąbelka i skuliła się, czekając, aż drzenie ustanie. Aż ziemia znowu zatrzyma się w nowym miejscu.

Wozy strażackie musiały zahamować, by przeczekać wstrząs, ale zaraz potem Don dał rozkaz ruszyć naprzód.

Gdy wjechali na wzniesienie, ich oczom ukazały się ruiny domostwa Henry'ego. Ogromny płat pokrycia dachowego niemal rozdarty na pół, a na nim kobieta gołymi rękami odciągająca blachę. Ginny.

- Oni są tutaj! - krzyknęła, gdy dojechali. - Henry i Ben. Dach się zawalił. Ściągnijcie go! Boże! Ben, och Ben, kochany!

Gdyby nie pył, mieliby się całkiem dobrze. Ziemia zadrżała, a żelazna konstrukcja oraz gruz nad nimi się przemieściły. Coś go przygniotło tak, że nie mógł odetchnąć, ale chwilę później żelazna rama drgnęła i zsunęła się z niego.

Nic mu się nie stało poza tym, że wypuścił z ręki latarkę, która upadła za daleko, by po nią sięgnął, i teraz bez sensu oświetlała nieprzenikniony mrok. Z powodu pyłu nie było czym oddychać. Tuż obok Henry niemal rzeził.

Co mówią w samolocie? Załóż maskę i pomóż założyć ją innym. Zrobić maskę.

Szarpał się z koszulą. Trzeba ją podrzeć. Kto by powiedział, że ta tkanina taka mocna? Zapamiętaj: kupować tańsze koszule.

Nagle przypomniał mu się odgłos rozdieranej bluzki Ginny. Słyszał nad sobą jej płacz, jej przerażony głos, słyszał, jak szarpie się z blachą. Chciał ją uspokoić, powiedzieć, że nic mu się nie stało... ale brakowało mu tlenu. W końcu zdołał podrzeć koszulę na kilka pasów. Ostatecznie zakrył twarz

kawałkiem materiału, przywiązując go z tyłu rękawem. Od razu poczuł ulgę.

Teraz Henry.

- Ben! Henry! - wołała Ginny, ale nie mógł marnować cennego powietrza, by jej odpowiedzieć. Musi dostać się do Henry'ego. Żeby zrobić zastrzyk, wystarczył dostęp do jego ramienia. Teraz musi zasłonić mu nos oraz usta, tym bardziej że środek przeciwbólowy jeszcze bardziej obniża sprawność oddechową.

Przepychał się przez rumowisko, aż coś przesunęło się tak, że mógł się podczołgać na niewielką odległość od głowy Henry'ego.

- Henry, chłopie...

Brak reakcji. Henry jest skoncentrowany na oddychaniu, pomyślał. Ma oddech krótki i płytki.

- Henry, musisz mi pomóc. - Odgarnął grubą warstwę pyłu z twarzy staruszka, oczyścił jamę ustną, po czym nakrył ją plecami swojej koszuli. - Henry, oddychaj przez ten materiał, oddychaj...

- Jada! Ben, już jada! - wołała Ginny, więc nie przywiązywał prowizorycznej maski Henry'ego. Sam też ledwie chwycił powietrze. Leżał na ziemi, siłą woli starając się zmusić Henry'ego, by trzymał się życia.

Ginny im powie, gdzie są. Ginny sprowadzi posiłki.

Ginny... Myślał tylko o niej. O kijankach, jak miał osiem lat, i o tym, że głupotą było jej się oświadczać, jak miał siedemnaście.

Trzeba było poprosić ją o rękę, jak miałeś osiem.

- Henry, oddychaj. Raz za razem, raz za razem. Oddychaj, bo tam czeka Ginny. Jeśli chodzi o mnie, to jeszcze z nią nie skończyłem. Myślę, że kocha nas obu, a gdybyśmy umarli, siebie będzie o to obwiniała. Taka durna, nic na to nie poradzisz. Oddychajmy, chłopie, dla Ginny.

Zastęp Dona składał się z ośmiu strażaków ratowników, kobiet i mężczyzn przeszkolonych do działania w takich okolicznościach, doświadczonych w uwalnianiu ludzi spod gruzu po trzęsieniach ziemi. Tutaj potrzebna była siła fizyczna oraz odpowiedni sprzęt.

Don zadał Ginny kilka rzeczowych pytań, po czym wydał ludziom stosowne polecenia. W ciągu pięciu minut usunęli pogięte poszycie dachu, obnażając to, co znajdowało się pod spodem.

Dwa nieruchome ciała, jedno niemal na drugim. Przez ułamek sekundy myślała, że obaj nie żyją. Dwa ciała...

Ale jeden z mężczyzn uniósł głowę. Umorusaną twarz zasłaniała mu prowizoryczna maska, ale ona, oczywiście, go rozpoznała. Ben.

- Nic mi nie jest - zaskrzeczał. - Henry też będzie okej, jak mu zdejmujemy pianino z nogi.

- Uhm... - mruknął Henry.

Najpierw postawili na nogi Bena. Zachwiał się, ale złapał równowagę. Cały i zdrowy.

Ginny zaczęła oddychać. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak długo wstrzymuje oddech. Ben.

Nie podszedł do niej, tylko obserwował, jak czterech silnych mężczyzn podnosi pianino. Nareszcie Henry był wolny. Jakimś cudem udało jej się przełączyć na tryb profesjonalny. Przygotowywała kroplówkę, podczas gdy Ben nadzorował układanie Henry'ego na sztywnych noszach. Żeby ratownicy uważali na kręgosłup, na stawy biodrowe, na miednicę, bo może być pęknięta.

Ale i sam Henry wydawał polecenia.

- Kiedy to nakryjecie? Bo tam jest sporo rzeczy, które jeszcze mogą się przydać. I pilnujcie pianina.

Ginny poczuła, że i on wyjdzie z tego obronną ręką. W końcu Ben podszedł do niej i ją objął.

- Nareszcie - mruknął Henry, leżąc na noszach. - Dwanaście lat na to czekaliśmy.

Ratownicy, śmiejąc się, zaczęli klaskać, ale nawet tego nie słyszała, wtulona w Bena. Najpierw pocałował ją w czoło, potem w usta. Na oczach wszystkich. Pokazując całemu światu, że Ginny należy tylko do niego, że jest jego wybranką.

O co chodzi? Miniona noc to początek nowego życia. Dlaczego do tej pory uważała, że brakuje jej odwagi, by zacząć od nowa? Dlaczego, skoro tym początkiem jest Ben? Oklaski cichły. Ale kiedy odsunęła się od Bena, kątem oka zauważyła, że tym oklaskom przewodniczy leżący na noszach Henry.

Ben uśmiechnął się do niej. Jej miłość, jej Ben.

Nadal się uśmiechając, rozejrzał się.

- A gdzie Bąbelek?

Zapomniała o Bąbelku! W tym chaosie całą uwagę skupiła na dwóch mężczyznach walczących o życie pod zwałami gruzu. Gdy ziemia zadrżała po raz drugi, niemal wrzuciła dziewczynkę do auta, przykazała jej nie ruszać się z miejsca i pobiegła do ruiny. Ale teraz...

Ben jest bezpieczny, ale nie ma dziecka, za które tylko ona odpowiada. Rozglądała się jak szalona.

- Bąbelek!!! - Jej krzyk odbił się echem po dolinie. W jeepie jej nie ma. W ruinach? Na pewno by ją zobaczyła... Powinna ją zobaczyć. Jaka z niej matka?

Urwisko. Ben już zaczął działać.

- Bąbelek zaginął - poinformował strażaków. - Czteroletnia dziewczynka. To jest priorytet.

Segregacja ofiar. W sytuacji wypadku należy starannie ocenić sytuację, a następnie przewidzieć najgorsze scenariusze. Nieważne, że ktoś krzyczy, że krew się leje, należy zająć się osobą o poszarzałej twarzy, która trzyma się



za serce. Lekarz ma wpojone, że chociaż może się okazać, że to tylko sińce i szok, musi go zbadać w pierwszej kolejności.

Zacznijmy więc od najgorszego scenariusza. Bąbelek został przysypany, ale chyba nie. Bo Ben odwrócił się i zaczął iść, nie, biec w stronę urwiska.

Urwisko, Boże...

Poniżej było morze, fascynujące dla dziewczynki nieświadomej zagrożenia.

Ben już stał na skraju urwiska.

- Jest tutaj! Zsunęła się, ale zatrzymała na skalnej półce. Bąbelku, bawimy się w raz, dwa, trzy Baba - Jaga patrzy! Skarbie, nie ruszaj się. Zaraz do ciebie zejść.

Ledwie to powiedział, a poczuli kolejny wstrząs wtórny, bardzo słaby. Może i słaby, ale i tak za silny dla naruszonej już struktury cypla.

Między Benem i Ginny otworzyła się szczelina.

- Ginny, stój tam, gdzie stoisz! - ostrzegł ją Ben, po czym zniknął poniżej krawędzi.

Szczelina stawała się coraz szersza, aż brzeg cypla zaczął zsuwać się do morza. A wraz z nim Ben.

Co robić, gdy wali się człowiekowi całe jego życie? Nic? Ginny stała bezradnie, skamieniała ze strachu, a dokoła niej ludzie przygotowywali się do akcji.

Nieobce im trzęsienia ziemi? Klęski żywiołowe? Zdecydowanie, bo zamiast stać jak otumanieni, wyjmowali z auta ekwipunek, liny, uprząże. Don tymczasem ostrożnie podszedł tam, gdzie krawędź urwiska zamieniła się w lawinę ziemi i kamieni.

Ktoś trzymał Ginny. Ratowniczką, najpewniej tak samo wyszkolona jak jej koledzy, ale teraz do jej zadań należało pilnować, by Ginny nie przeszkadzała w akcji.

- Zjeżdżamy do nich - powiedziała. - Kochana, spokojnie. Don jest świetny. Jeżeli w ogóle można do nich dotrzeć, to jemu się to uda.

Wszyscy wstrzymali oddech. Grunt nadal był niepewny i w każdej chwili należało się spodziewać kolejnego wstrząsu.

Don posuwał się bardzo powoli, z każdym krokiem próbując, czy piarg się nie obsunie. Wcześniej przymocowali linę do jeepa, po czym ostrożnie zaczęli ją luzować, aż Don zniknął poniżej krawędzi.

- Mam ich! - zawołał przez radio. - Spuście dwie uprząże, jedną dużą, drugą małą. Mała wygląda okej. Ben ją trzyma przyciśniętą do zbocza. Ben chyba jest ranny, musiał o coś uderzyć, ale jest przytomny. Dawajcie te uprząże! Głupio by było ich teraz stracić.

Kilka siniaków i dezorientacja, to Bąbelek. Uraz miednicy, Henry.

Ból, spadające ciśnienie, podejrzenie urazów wewnętrznych, to Ben. Podała mu kroplówkę oraz środek przeciwbólowy, usilnie starając się postępować jak lekarz, a nie kobieta, której mężczyźnie grozi śmierć.

Wezwano śmigłowiec, z którego wysiadł Dave. Zbadawszy Bena, potwierdził jej podejrzenia.

- Pęknięcie śledziony - warknął do radiotelefonu.

W odpowiedzi usłyszał, że mają lecieć do Auckland. Ginny nie pozostało nic innego, jak przytulać Bąbelka i przestać się trząść.

- Zabierzcie Ginny do centrum medycznego - polecił Don, gdy śmigłowiec startował. - Przyda jej się coś, bo jest w szoku.

- Nie trzeba - odparła, spoglądając za unoszącym się śmigłowcem. Pożegnała się z Henrym oraz Benem, ale w takim pośpiechu, że nie zdążyła z nimi porozmawiać.

Ben mocno ścisnął jej rękę, ale nie była pewna, czy nie z bólu. Bardzo chciała z nim polecieć, ale jej priorytetem był Bąbelek. Już raz o nim zapomniała. I to się nie powtórzy.

- Ty idiotko! - usłyszała z przeszłości głos Jamesa. - Masz mózg mniejszy od ptasiego.

To jej wina, że Ben doznał takich obrażeń. Henry. Powinna była się uprzeć, żeby został w winnicy. Powinna...

- Chodź, Ginny. Zabierzemy cię do szpitala - powiedział Don, ale pokręciła głową.

- Nic mi nie jest. Na szczęście Bąbelkowi i mnie nic nie jest. Mogę prowadzić. Dzięki za troskę, ale sama muszę sobie poradzić.

- Jak bardzo boli w skali od jednego do dziesięciu? - zapytał Dave, gdy przelatywali nad morzem.

- Jedenaście - odparł ponuro Ben, ale widząc przerażenie na twarzy Dave'a, poprawił się. - Przepraszam, koło siedmiu, ale przydałoby się więcej środka przeciwbólowego. Jest jeszcze kilka innych spraw.

- Jak rozstanie z damą - wyjaśnił leżący obok Henry. Obaj dostali słuchawki, więc mogli się komunikować. - On się tak fatalnie czuje na pewno z powodu Ginny.

- Nie odniosłem wrażenia, żeby coś się jej stało - zaniepokoił się Dave. - Wyglądała na pozbieraną.

- Tak, jest pozbierana, no i to świetny lekarz - z powodu bólu Ben ledwie mówił - ale nękają ją demony przeszłości. Myślałem, że sporo ich już przepędziłem, ale obawiam się, że razem z Henrym obudziliśmy ich więcej.

Zachowując ostrożność, wracała do miasteczka. Żeby zająć czymś myśli, planowała. Musi wyremontować dom, doprowadzić do stanu używalności stróżówkę w winnicy oraz przekonać Henry'ego, by z powrotem tam zamieszkał.

Lista rzeczy do zrobienia wydłużała się, a ona dalej się na niej koncentrowała, żeby się nie bać. I nie słyszeć oskarżycielskich głosów przeszłości.

Przez całe życie była nie dość dobra i już była tym bardzo zmęczona.

- Jestem dobra! - warknęła przez zęby, by te głosy odegnąć, by stawić im czoło. - Będę opiekować się Bąbelkiem. Tak mi dopomóż Bóg. I na tym koniec - dodała już mniej wojowniczym tonem, czując, że nie ma siły walczyć na więcej niż jednym froncie. - Na tym się skupię. Może kocham Bena, może nawet kocham medycynę, ale wszystko psuję i już nie chcę ryzykować. Będę Benowi pomagać, dopóki nie znajdzie kogoś innego, ale na tym koniec. Bąbelek, winnica i nic więcej.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Tydzień później Ben pojechał do winnicy poszukać Ginny. Gdy wysiadł przed bramą, zobaczył, jak przybija deskę na werandzie domku Henry'ego. Bąbelek też trzymał młotek i walił gdzie popadnie. Ujrzawszy przed bramą auto, przerwała pracę, ale Bąbelek nie zwrócił na to uwagi.

Z miasteczka przywiozła go matka. Grunt na podjeździe wyglądał na niestabilny, więc nie odważyła się podjechać bliżej. Teraz spoglądała na kobietę i dziecko.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? Mam poczekać? - zapytała.

- Nie, Ginny mnie odwiezie.

- Możesz mieć problem z wyciągnięciem jej stąd. Okej, nie dlatego, że grunt tu niepewny. Wiem, że można przez pastwiska przejechać na skróty. Ben, ona cierpi i unika ludzi. Cierpi bardziej niż ty.

- Bardziej niż ja z powodu pękniętej śledziony?

- Ty już nie masz śledziony, a ona ciągle liże rany - zauważyła Ailsa. - Miała ojca chama i koszmarną matkę. Wiem, że ją kochasz, ale nawet jak była dzieckiem, czułam, że coś ją nęka. Zdaje się, że mąż też się do tego dołożył.

- Z demonami sobie poradzę - odparł Ben, mimo że nie do końca był tego pewny.

- Powodzenia, synku. - Pocałowała go, a on wysiadł z auta, opierając się na lasce dziadka. Śledzionę usunięto metodą laparoskopową, więc nie na tym polegał problem, ale był poobijany jak mało kto. - Zadzwoń, jak ci się nie uda. - Popatrzyła w stronę Ginny. - Żeby sobie ulżyć w tym bólu, możesz potrzebować więcej niż laski.

- Jak z pękniętą śledzioną przeżyłem lot śmigłowcem do Auckland, to i z tym sobie poradzę.

Odjeżdżając, Ailsa z powątpiewaniem kręciła głową.

Gdy wysiadł, Ginny wyszła mu naprzeciw. Zatrzymała się tylko, by wziąć za rękę Babelka. Najwyraźniej nie spuszczała dziewczynki z oczu.

Gdy Ailsa odjechała, przystanęła.

- Cześć - wykrztusiła, ale szybko przełączyła się na tryb medyczny. - Nie powinieneś chodzić. Może krzesło?

- Nie trzeba. - Oboje opuścili wzrok na laskę. - Jestem twardzielem - powiedział to takim tonem, jakby sam chciał siebie o tym przekonać. Uśmiechnął się. - Krzesła są dla mięczaków. Dzięki za kwiaty.

- Tylko... tylko tyle mogłam zrobić.

- Zawsze robisz „tylko tyle”? To słowa Hannah, nie twoje.

Stała dziesięć metrów od niego, a on miał ogromnego siniaka na udzie, który przy każdym ruchu bolał piekielnie, mimo że od wypadku upłynął już tydzień. Nie podeszła bliżej.

- Miałem nadzieję, że mnie odwiedzisz.

- Dzwoniłam.

- Żeby zapytać, co ze mną, ale nie poprosiłaś, żeby cię do mnie przełączyli. Tchórz.

- Razem z kwiatami dostałeś kartkę. Z przeprosinami - wykrztusiła. - Nie było o czym pisać. Ben, naprawdę jest mi przykro. Nic więcej nie mam do powiedzenia. Dlaczego chcesz mnie jeszcze oglądać?

- Żeby zapytać, czy za mnie wyjdiesz.

Ślub. Wielka sprawa. Obserwował, jak Ginny blednie. Być może plan wyłożenia wszystkiego kawa na ławę akurat teraz nie należał do najszcześniejszych.

- Ben...

- To, co się stało, to nie twoja wina. Nic nie jest twoją winą. Jesteś moją Ginny, a ja twoim Benem. Wypadki będą zawsze, ale razem stawimy im czoło.

- Wolałbyś nie dzielić ze mną... moich wypadków.

- Ginny...

- Nic mi się nie udaje. Staram się i staram, ale nic z tego nie wychodzi. Nawet Bąbelek... Boję się opieki nad nią. Wiem, że nie ma wyboru, że mnie potrzebuje, ale byłoby jej o wiele lepiej z kimś, kto by ją kochał, nie psując wszystkiego.

- Mam rozumieć... - starannie dobierał słowa - że poważnie myślisz, żeby zrezygnować?

- Nie mogę. Nie z Bąbelka.

- Ze mnie?

- Tak. Z ciebie tak. - Okrutne słowa. Przypomniały mu się przykre rzeczy, które mu powiedziała, kiedy miała siedemnaście lat, jak w to uwierzył i jak pozwolił jej odejść.

Jaskiniowiec miałby o wiele łatwiej. Przewiesiłby ją sobie przez ramię, zaniósł do jaskini i już byłaby jego na resztę życia. Ale teraz? Teraz musi przemówić jej do rozsądku.

- Kochasz mnie? - zapytał, jakby to było coś zwyczajnego w ustach faceta, który zamiast leżeć w łóżku, stoi w południowym skwarze, podpierając się laską, i oczekuje odpowiedzi na pytanie tak istotne, że zapiera mu dech w piersiach.

To jedyna okazja, pomyślał.

Druga taka może mu się nie trafić.

Na jej twarzy malowało się to wahanie, to strach.

Poczuł, że ma przewagę.

- Pierwsze moje pytanie dotyczyło małżeństwa. Ale nie otrzymałem odpowiedzi, więc podejść z drugiej strony do tego tematu. Ginny, mów prawdę. Kochasz mnie?

- Bardzo... za bardzo - wyszeptała. Pokiwał głową.

- Z ciekawości zapytam, czy kochałaś mnie, jak mieliśmy po siedemnaście lat?

- Tak, ale...

- Więc to, co mówił Henry, to prawda. W szpitalu leżeliśmy w tym samym pokoju. I wtedy mi to powiedział.

Odrzuciłaś mnie, bo ojciec ci zagroził, że nie dopuści, żebym się dostał na studia.

- Nie powinien był tego opowiadać...

- Mnie?

- Tak.

Tego już za wiele. Był obolały, a ona stała przed nim, trzymała za rękę Babelka i była tak nieosiągalna jak dwanaście lat temu. Kurczę, czy ona szczerze chce się od niego uwolnić?

- Henry nie powinien mi tego mówić?! - zawołał. - Henry nie powinien mi tego mówić?! Dlaczego sama mi o tym nie powiedziałaś, żebyśmy mogli razem stawiać temu czoło? Nie musisz samotnie zmagać się z przeszłością. Pomyśl, jak niemoralne były pogroźki twojego ojca. Jak podszyte tchórzostwem drwiny twojego męża, przez co teraz jesteś skurczona i przestraszona jak królik, bo nie wiadomo dlaczego uważasz, że to twoja wina, że jestem teraz zły. Ginny, czy kochasz mnie?

- Tak, ale...

- To chciałem usłyszeć - mruknął ironicznym tonem.

- Przebierz się. Jedziemy na pogrzeb.

- Ben...

- Dobrze się zastanów, jeśli myślisz, że ci pozwolę znowu zamknąć się w skorupie - warknął. - Nie powinienem tu być, nie mogę prowadzić, ale obiecałem Squidowi, że wygłoszę mowę na jego pogrzebie. - Spojrzał na zegarek. - Czyli za czterdzieści minut. Hannah będzie czekała na nas przed kościołem, żeby wziąć Babelka, więc włóż coś bardziej czystego. Potem zawieziesz mnie na pogrzeb. I pójdziesz ze mną, czy ci się to podoba, czy nie, bo jesteś częścią tej wyspy. Bo jesteś mi potrzebna.

Złagodniał, spojrzawszy na jej twarz. Wyglądała jak sarna zahipnotyzowana światłem reflektorów.



- Ginny, sam nie dam rady. - Wyciągnął do niej rękę.

- Spokojnie. Nie wspomnę o małżeństwie ani o miłości, ale będę się upierał, że tu jest twoje miejsce. Dla Squida byłaś jedną z nas. Ja też tak czuję. Byłaś z nami, kiedy najbardziej tego potrzebowaliśmy. To będzie pożegnanie członka naszej społeczności. Ginny, jedź ze mną.

- Chciałeś powiedzieć, że to ty ze mną pojedziesz - zauważyła, siląc się na żart. - Zdaje się, że tylko ja mam tutaj auto.

- Dlatego, skarbie, jesteś mi tak potrzebna. Jest jeszcze pięćdziesiąt innych powodów. Chodź, skarbie, tej randki nie możesz mi odmówić. Jedźmy pożegnać Squida.

W kościele znalazła miejsce w jednej z ostatnich ławek. Obok niej przysiadła Ailsa, która na powitanie serdecznie ją uścisnęła.

- Poproszono Bena, żeby wygłosił mowę pogrzebową - poinformowała ją. - Przyjaźnił się ze Squidem i bardzo przeżywa jego śmierć. - Umilkła poruszona, więc Ginny została ze swoimi myślami.

Miłość? Małżeństwo?

Zraniła go tak jak kiedyś. Przemówiło przez nią tchórzostwo. Cienie rodziców i Jamesa. Ale czy ma prawo wystawiać Bena na konsekwencje błędów, które nieuchronnie popełni? Mogłaby tak postąpić?

Ailsa dotknęła jej ręki.

- On kocha cię bezgranicznie - szepnęła. - Ginny, zrób ten krok.

Wszystko ma wypisane na twarzy? Gdy wstawały do pierwszego hymnu, uśmiechnęła się z przymusem.

Zdecydować się na taki krok?

Gdy hymn dobiegł końca, Ben stanął przed prostą trumną zbitą z desek. W rękę trzymał kartkę.

- Squid mnie prosił, żebym przemówił na jego pogrzebie.  
- Wzruszenie ścisnęło Ginny za gardło. - Wszyscy znamy Squida. Lubił przepowiadać, co się stanie, więc postanowił to uwiecznić. Napisał to tuż przed trzęsieniem, na wszelki wypadek, i dokładnie powiedział, co mam mówić.

W pierwszej chwili żałobnicy się roześmiali, ale moment później zamarli. Każdy od dziecka znał starego rybaka, wszyscy czuli, że wraz z jego śmiercią umarł kawałek wyspy. Poza tym, kto teraz będzie przepowiadał klęski żywiołowe?

- „To nie moja wina”.

Pierwsze słowa wypowiedziane przez Bena, pierwsze słowa Squida, wytrąciły ją ze wspominkowego nastroju oraz poczucia winy. To moje słowa, pomyślała skonfundowana. A może nie moje?

Całe dzieciństwo upłynęło jej na zasłanianiu się właśnie tymi słowami, chociaż łatwiej było poddać się i zaakceptować. To moja wina.

- „Od paru lat mam problemy z sercem” - czytał Ben. Zapewne bezwiednie naśladował brzmienie głosu Squida. - „Doktor mnie namawiał, żebym udał się do Auckland, gdzie mi wszczepią sztuczną zastawkę, ale, kurczę, mam dziewięćdziesiąt siedem lat albo i więcej, jak to usłyszycie. Kto by chciał, żeby mu w tym wieku wszczepiano jakieś obce ciało?

No więc siedzę sobie na kei, wygrzewam w słońcu i zaczynam wam opowiadać, że wydarzy się katastrofa. Trzęsienie ziemi. Myślę sobie, dobrze, żeby się sprawdziło, ale z drugiej strony mam cichą nadzieję, że się nie sprawdzi. A w gazecie czytam, że gdzieś tam dwóch naukowców wsadzili do więzienia za to, że nie przewidzieli trzęsienia ziemi. Świat stanął na głowie! Jak się pomylę, to moja wina? Jak się sprawdzi, to też moja wina, bo nie krzychałem wystarczająco głośno? Wina. Doktor powiedział, że potrzebuję nowej

zastawki. Czy to jego wina, że teraz leżę w tej cholerniej trumnie?" Szepty, a nawet podniesione głosy:

- Ktoś powinien był nas ostrzec!

- Kogo mamy podać do sądu?

Ginny przypomniał się czerwony z wściekłości James, gdy usiłowała wstrzyknąć mu lek, ale nie mogła znaleźć żyły.

- To przez ciebie jestem w takim stanie! - naskoczył na nią. Irracjonalny zarzut, ale wpędzanie kogoś w poczucie winy to potężna broń. Jak wszystko zawodzi, znajdź winnego.

- „Chcecie, żebym wziął to na siebie, żebyście sami lepiej się poczuli?” - czytał Ben. - „Nic z tego. Teraz wam to powiem. To dlatego nie chciałem, żebyście zawinęli mnie w brezent i z mojej łodzi wrzucili do morza, dopóki nie wezmę udziału w tej skromnej uroczystości. Podejrzewam, że jeżeli moje słowa się sprawdzą w kwestii tego trzęsienia i od tego wysiadzie mi pikawa, a czuję, że tak może być, to będziecie teraz złorzeczyli mojej trumnie, mówiąc, że ta katastrofa to wina tego starego durnia.

Mówię wam, zamknijcie się, nikt nie potrafi wywołać trzęsienia ziemi, więc nie waście się nie wypić piwa na mojej stypie. Chcę mieć porządną stypę. I nie zapomnijcie skropić piwem trumny, a potem bez żalu wrzucicie mnie do morza. I ogłoście wszem i wobec, że oszedłem. Wspaniałe życie. Wspaniałe czasy. Wspaniała wyspa.

Merv Larkin, posłuchaj, namiary na moje najlepsze miejsce na lucjana są na odwrocie kalendarza w wygodce. To wszystko. Takie jest moje przesłanie. Do zobaczenia”.

Tłumiony śmiech, ale Ginny słyszała też oskarżycielskie pomruki. Ben w milczeniu spoglądał na zebranych. Wiedziała, o co chodzi niezadowolonym.

- Jeżeli Squid wiedział, to dlaczego nie mówił o tym głośniej?

- Dlaczego nie zwrócił się do naukowców, nie wymusił na nich oficjalnego ostrzeżenia?

- Squid nie miał żadnej wiedzy - przemówił Ben, przenosząc wzrok na Ginny. Leciutko się uśmiechał, a ona czuła, że ten uśmiech jest przeznaczony wyłącznie dla niej. - Miał sto lat i wiecie, czego był pewny? - ciągnął. - Że nikt nic nie wie. Możemy coś zakładać. I stale to robimy. Przebiegnę przez tę ulicę, bo jest szansa, że nie spadnie mi na głowę meteor. To jest tylko założenie. Całkiem słuszne. Tak samo ostrzeżenia Squida były całkiem słuszne, bo opierały się na stu latach obserwacji znaków na niebie i ziemi, o których wiedział od dziadka. Ale ponieważ to nie Squid potrząsnął ziemią, nie można go o to obwiniać.

Meteory wiszą nad głową każdego z nas. Kiedyś spadną jak amen w pacierzu i musimy się z tym pogodzić. Ze swojej strony chciałbym powiedzieć, że Squid był dla Kaimotu błogosławieństwem. Nie miejmy do niego żalu, chyba tylko o to, że chociaż zwolnił swoje miejsce połowu lucjana, to miejsca, gdzie łowił langusty, odeszły razem z nim. Kochaliśmy go, doprowadzał nas do szewskiej pasji, ale będzie go nam brakowało. Chyba już wszystko zostało powiedziane. Może jeszcze to, że zostawił wystarczająco dużo, żeby każdy z nas wypił za niego piwo albo whisky. Pokój jego duszy.

Śmiechy, ale tym razem naznaczone niepewnością. Pociąganie nosem. Organista dał z siebie wszystko, wykonując ulubiony hymn mieszkańców Kaimotu, bo mieszkańcy wyspy gromkim głosem pożegnali jednego ze swoich. Sześciu ogorzałych rybaków prowadzonych przez utykającego Bena wyniosło trumnę z kościoła, a karawan zawiózł ją na nabrzeże, by koniec końców Squid mógł spocząć w morzu, a parafianie ruszyć do pubu.

- Idziemy z nimi? - zapytała Ailsa.

Dopiero wtedy Ginny zdała sobie sprawę, że matka Bena przez cały czas nie puszczała jej ręki, nawet gdy śpiewała hymny. Jakby Ginny była jej córką?

Nie jest jej córką, ale mogłaby nią zostać.

- Boję się - wyszeptała Ginny, wpatrując się w Bena, który rozmawiał z rybakami, gdy karawan powoli oddalał się jeszcze nieuprzątniętą ulicą w stronę przystani.

- Ufałaś - odezwała się Ailsa. - Ufałaś ojcu, ufałaś mężowi. Dziecko, to nie grzech. Tylko słabeusz trzyma się takiego myślenia. Weź się w garść, dziewczyno, i zawalcz o to, czego chcesz. Idziesz do pubu, żeby dodać sobie kurażu? Squid zapłacił z góry za najlepsze piwo i whisky dla wszystkich.

- Muszę się zastanowić.

Ailsa pokręciła głową i pociągnęła ją z sobą.

- Nonsens. Musisz znaleźć swoje miejsce.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ben wraz z rybakami udał się do przystani, Ginny do pubu, gdzie zamówiła whisky, ale tylko jedną, bo miała naprawdę dużo do przemyślenia.

Musi się poważnie zastanowić. Mieszkańcy Kaimotu ją akceptują, nikt na nią krzywo nie patrzy, prawdę mówiąc, traktują ją z czułością.

- Słyszałem, że nie miałaś lekko - powiedział farmer, którego ziemia sąsiadowała z winnicą. - Doktor Ben przykazał nam zostawić cię w spokoju, ale za długo się nie ukrywaj, bo cię potrzebujemy.

- Wiem, że na wyspie brakuje lekarzy.

- Nie tylko dlatego. Może to zabrzmie głupio, ale jesteś jedną z nas. Od zawsze, nie tak jak twoi rodzice. Nawet jak byłaś mała i przyjeżdżałaś tu na wakacje, zawsze czuliśmy, że należysz do nas, a my nie lubimy tracić swoich. - Opuścił wzrok na kufel z piwem i uśmiechnął się półgębkiem. - Nawet jak mają dziewięćdziesiąt siedem lat, śmierdzą jak wędzona makrela i przepowiadają dzień sądu ostatecznego. Będzie go nam brakowało, tak jak brakuje nam ciebie. Nieważne, że jesteś lekarzem. Twój dom jest na Kaimotu.

Po takiej przemowie niewiele miała do powiedzenia. Zabrakło jej chusteczek. Cholerny pogrzeb, cholerni sąsiedzi. Cholerny Ben.

Ze szklanką whisky przeszła przez ogródek piwny i dalej przez bramkę, przez którą jako dzieci przemykali się lata wcześniej, i ruszyła ścieżką prowadzącą na najpiękniejszą plażę na wyspie.

Trzęsienie ziemi nie wyrządziło tu wielkich szkód. Osunęło się zaledwie kilka głazów, ale nie naruszyły ścieżki. Zdjęła buty, po czym przysiadła na skale i zapatrzyła się w morze.

Jesteś jedną z nas. Rozpłakała się na dobre. Na całym świecie nie było aż tylu chusteczek, ale nie miała siły tym się przejmować. Nie płakała aż do powrotu na tę wyspę. Nie płakała na pogrzebie ojca ani kiedy Jamesowi postawiono diagnozę. I kiedy umarł. Więc dlaczego płacze teraz? Emocje sprawiły, że czuła, że się zapada, a gdy Ben przysiadł obok i ją przytulił, nie miała siły się odsunąć.

Zapada się i tylko on może ją uratować.

Wyjął jej z rąk szklankę. Była do połowy pełna, a Ginny jak przez mgłę pomyślała, że to bardzo dobra whisky i że gdyby się rozlała, Squid zapewne straszylby ją do końca jej życia. Ben odstawił szklankę, po czym delikatnie oplótł Ginny ramionami.

- Jestem cała mokra - wykrztusiła.

- Na pogrzebie wolno płakać.

- Ja nie płaczę.

- Bo ci nie wolno?

- Ja nie płaczę i nie chcę płakać - oznajmiła, po czym znowu zalała się łzami. Przód koszuli Bena zrobił się mokry, a ona wiedziała, że zachowuje się absurdalnie, ale nie mogła przestać. - Przepraszam...

- Ani się waż przepraszać - mruknął Ben. - Za nic. Pamiętasz, co zrobiłaś, kiedy zatopiła się tamta wanna?

- Ob... obrzuciłam cię błotem.

- Słusznie. - Uśmiechnął się. - Co było potem?

- Powiedziałeś, że jak się nie poskarżę twojej mamie, to mi dasz swoją najładniejszą kijankę. Tę, która miała szansę przeistoczyć się w gigantyczną żabę.

- To było dla mnie wielkie poświęcenie - zauważył. - Ale potem widziałem, jak się nią opiekujesz i jak się nią chwalisz przed innymi dziećmiakami.

- Wcale się nie chwaliłam!

- Chwaliłaś, chwaliłaś. I patrzyłem, jak ją wypuszczasz. Moją żabę! Dam sobie rękę uciąć, że dzięki tobie jej potomkowie nadal tu skaczą. Na tym jeziorku było mnóstwo kaczek, więc ta kijanka miała słabe szanse, ale to ty ją uratowałaś, nie ja. Wiesz co? Trzeba mi było po prostu cię przeprosić, a tę kijankę sobie zatrzymać. Ale wcale nie było mi przykro. - Posłał jej uśmiech, od którego serce jej drżało, gdy miała osiem lat. - Czułem, że tak ma być. Przeze mnie skąpałaś się w błocie i chciałaś hodować moją kijankę. Ale wiesz co? Patrzyłem na to z radością i nie miałem wyrzutów sumienia.

- Ben...

- Gdybyśmy się pobrali... - Spoważniał. - Chciałbym, żeby właśnie tak to wyglądało. Żadnego poczucia winy.

- Niemożliwe, żebyś chciał się ze mną ożenić - wyszeptała. - Ze mną i tym całym moim bagażem. Wychowywać dziecko innego mężczyzny...

- Byłoby jak z tą żabą. Przekażesz mi swój bagaż i będziesz patrzyła, jak się nim opiekuję. To tak jakbyś sama się nim opiekowała. Tak to widzę. Ginny, między nami zawsze tak było. Od dzisiaj nawet najmniejszych wyrzutów sumienia.

- Cierpiałeś przeze mnie.

- Ale na ciebie naciskałem. Namawiałem siedemnastoletnią dziewczynę, żeby za mnie wyszła... Przed podjęciem tak ważnego kroku powinno się trochę poznać życie. Jak widać, wyszedłem na tym lepiej. Miałem kilka sympatycznych dziewczyn, każda o niebo sympatyczniejsza od twojego Jamesa, ale wolałbym, żebyś o nie mnie nie wypytywała, za to ty możesz opowiedzieć mi o Jamesie tyle, ile zechcesz. Powiem o nich tyle tylko, że żadna z nich nie wyhodowałaby z mojej kijanki tak pięknej żaby. Ginny, żadnych wyrzutów sumienia. Płacz, aż wypłaczesz wszystkie łzy, a potem zacznij żyć.



Nie mogła wydobyć z siebie słowa. O co chodzi z tymi łzami? Gdyby była Audrey Hepburn, otarłaby ostatnią łzę i trzepocząc pięknymi rzęsami, już by ukochanemu spoglądała w oczy. Gdzie są chusteczki?

- Proszę. - Podał jej dużą męską chustkę.

- Prawdziwa chustka do nosa?

- Na pogrzeb zawsze zabieram chustkę. Jak się przyjrzyysz, zobaczysz, że jeden róg jest lekko zmiętoszony.

Obejmował ją mocno i bardzo długo, aż wyczerpał się jej zapas łez i stopniowo dochodziła do siebie. Przyszło jej też do głowy, że... że tak jest okej.

Że tu jest jej miejsce, jej dom. Ale rozstać się bagażem przeszłości? Rozstać się z poczuciem winy?

- Jeżeli dalej chcesz czuć się wszystkiemu winna, to zobowiązuję cię do wręczenia mi w prezencie ślubnym wielkiej kijanki. - Odsunął się, by na nią popatrzeć.

- Skąd wiesz, o czym myślałam?

- Po prostu wiem. Tak jak ty wiesz, co ja myślę. Skarbie, jesteśmy dla siebie stworzeni. Może pora, żebyśmy to zaakceptowali.

- Bąbelek... na pewno chciałby zostać druhną. Ben uniósł brwi.

- Nie zorientowałem się, że myślisz akurat o tym.

- Myślę o tylu rzeczach naraz, że nic dziwnego, że nie nadążasz.

- Czy to znaczy, że może za mnie wyjdiesz?

- Jak zdobędę się na trochę więcej odwagi.

- Już pokazałaś, że ci jej nie brak. Bez mrugnięcia powieką przygarnęłaś Bąbelka. Nie odeszłaś od Jamesa, mimo że traktował cię skandalicznie. Kochanie, nie brakuje ci odwagi. Chodzi o to, żeby stojąc nad potłuczonym wazonem, złamaną kończyną czy nad pacjentem, który zmarł pomimo naszych wysiłków, powiedzieć sobie: „Taki los”. Będzie nam

rzucał kłody pod nogi, ale także przyniesie radość. Radość, radość i jeszcze raz radość, jeżeli zostaniesz moją żoną.

- Ben...

- Nie odpowiadasz za śmierć Jamesa. Powtórz.

- Nie odpowiadam za śmierć Jamesa.

- Ani za śmierć ojca oraz jego rozczarowanie, że przed jego śmiercią nie zdobyłaś Nobla.

- No nie...

- Ani za głębokie rozczarowanie matki, że nie urodziłaś się blondynką.

- Ej, tak daleko się nie posunę.

Nagle zdała sobie sprawę, że już nie płacze. Co wyparło łzy? Dziwne, wcześniej nieznanie uczucie. Wyzwolenia? Wolności?

- Nie być blondynką to haniebna zbrodnia.

- No właśnie - przytaknął. - Możesz wstać z ławy oskarżonych, spojrzeć w oczy oskarżycielom i powiedzieć, że nie jesteś winna?

- Chyba tak.

- Chcesz cieszyć się życiem?

- Cieszyć się życiem - powtórzyła, bo brzmiało to obco.

- Nie ożenię się z tobą, dopóki nie staniesz się znowu Ginny, którą pamiętam sprzed lat. - Wskazał na lekki spadek terenu, który na skutek trzęsienia ziemi stał się piaszczystą wydumą nachyloną ku plaży. Wręcz kuszącą, by zsunąć się z niej prosto do morza. - Tamta Ginny by stamtąd zjechała.

- Zamoczę ubranie.

- Już jest mokre.

- Faktycznie. - Popatrzyła na tego dobrego i mądrego Bena, który czekał na nią kilkanaście lat, który sprawił, że dostrzegła coś, co powinno być dla niej oczywiste.

- Czuję, że za chwilę zerwę łańcuchy.

- Słucham?

- Nie zdajesz sobie sprawy, w co się pakujesz. Jeżeli to nie będzie moja wina, że wytlukę wszystkie filiżanki... - Spojrzała na piaszczysty stok. - Piasek wejdzie mi w majtki... Sama tego nie zrobię.

- Już nigdy nic nie będziesz musiała robić sama. - Po chwili dodał: - W miarę rozsądku. Mam wrażenie, że całe życie byłaś sama. Trzymaj się mnie, a cała wyspa będzie twoja. Jesteśmy częścią tej społeczności, a we dwoje stanowimy zespół. Ty i ja. Zawsze razem.

- Udowodnij to.

- Co? - Zamrugął.

- Pamiętasz, jak chciałam się z tobą kolegować? Kazałeś mi to udowodnić. Miałam przepłynąć wanną na drugi brzeg.

- Chyba już mamy to za sobą.

- Ty może masz, ale ja dalej jestem ostrożna. Widzisz to piaszczyste zbocze? Nie powinno być przeciwwskazaniem dla osoby po zabiegu laparoskopowym. Razem albo nic z tego, doktorze.

- Nasypie mi się piasku do majtek.

- Bez wątpienia - odparła ze stoickim spokojem, bo nagle ogarnął ją spokój.

Cieszę się, pomyślała z niedowierzaniem. Jestem szczęśliwa. I kocham, kocham, kocham. Co więcej, jakimś cudem ten, którego kocha, kocha ją z wzajemnością, a ona prosi tylko o to, by zjechał dla niej z piaszczystej górki.

Nie do pomyślenia, by o coś takiego mogła poprosić któreś z rodziców albo Jamesa. Dlaczego wtedy tego nie widziała? Wina nigdy nie leżała po jej stronie, a po ich. Wybrali sobie nie taką córkę, nie taką żonę. Być może ich doskonała córka i doskonała żona była gdzie indziej.

- Zjeżdżasz albo nic z tego - powtórzyła.

- Scałujesz siniaki? Zjadę i dostanę wszystko? - upewniał się z błyskiem w oku, takim jak przed laty.

- Wszystko - zapewniła go, po czym wstała i ruszyła w stronę zbrocza. Wiedziała, że Ben pójdzie za nią.

Dwie minuty później dwoje mokrych, oblepionych piaskiem lekarzy wynurzyło się z wody, zachłystując się wodą i śmiechem. Trzymali się za ręce, a Ginny nareszcie miała pewność, że znalazła swoje miejsce.

Tutaj jest jej miłość, tutaj jest jej życie.

Po tym, jak już wszystkie sińce zostały pocałowane, Ben poprowadził ją do pubu. Stypa dobiegała końca, ale większość mieszkańców jeszcze się nie rozeszła.

Gdy stanęli w drzwiach pubu, mieszkańcy Kaimotu osłupiali patrzyli na swoich lekarzy: Bena w garniturze ociekającym wodą oraz Ginny z wodorostami we włosach.

- Mamy wam coś do zakomunikowania - odezwał się Ben. - Informuję wszystkich, którzy chcą mnie wysłuchać, że Ginny zgodziła się zostać moją żoną. Squid, jeśli słyszysz nas tam w niebie, to nie twoja wina, aczkolwiek trochę się do tego przyczyniłeś. Panie i panowie, Ginny mnie kocha, więc następną uroczystością na tej wyspie będzie ślub.

I tak też się stało.

Ślub Ginny i Jamesa odbył się w największej katedrze w Sydney, a wesele w luksusowej sali balowej z widokiem na port. Ślub Ginny i Bena miał miejsce w niewielkiej kaplicy, tej samej, w której pożegnali Squida, a wesele na plaży. Ginny chciała, żeby było skromnie, ale nie do końca postawiła na swoim, bo mieszkańcy Kaimotu zorganizowali imprezę wszech czasów.

Ailsa uszyła jej piękną suknię z dekoltem w serce, szerokim pasem w talii i spódnicą z koła.

Ben porwał ją do tańca, ale zamiast tradycyjnego walca tańczyli jive'a.

- Nie da się tańczyć walca na piasku - oznajmił.

Nie była pewna, czy da się tańczyć jive'a, ale jakoś się udało. Tańczył też Bąbelek. W różowej kopii sukni Ginny, z Henrym, który nie posiadał się ze szczęścia.

Wrócił do wyremontowanego domku w winnicy, krzątał się wśród winorośli, zdążył pokochać Bąbelka i z niecierpliwością czekał, kiedy Ginny, Ben i Bąbelek razem zamieszkają w dużym domu.

Oświadczył, że Bąbelek jest członkiem jego rodziny podobnie jak czarno - biały kotek, który dziewczynki nie odstępował. Bąbelek był w siódmym niebie. Kardiolog orzekł, że konieczna będzie operacja usunięcia drobnej wady serca, ale że można z tym poczekać, więc na razie mogli zająć się budowaniem rodziny.

Mieszkańcy wyspy rozpalili wielkie ognisko. Zapadał zmrok. Miejscowa kapela grała co sił w rękach, jedzenia wystarczyłoby dla całej armii, ludzie tańczyli, śpiewali, plotkowali, owijali dzieci pledami i układali do snu na ciepłym piasku.

- To potrwa do samego rana - szepnął Ben.

- Niech trwa.

- Ale jesteś moją żoną. Czy to moja wina, że cię pożądam akurat teraz?

- Tak, to twoja wina - odparła pogodnie. - To wszystko to twoja wina. Ja nie biorę za to odpowiedzialności.

Przytulił ją mocniej. Tańczyli upojeni miłością i pożądaniem, ze świadomością, że mają dla siebie wieczność. Ale pożądanie się niecierpliwiło.

Nikt nie zbierał się do domu, nikt nie był przygotowany na koniec imprezy.

- Słuchaj, co powiesz na wezwanie do nagłego wypadku?

- Nagły wypadek? - zdziwiła się.

- Poważny. Wiesz, że można zrobić, że zadzwoni twoja własna komórka? - Poprowadził ją tam, gdzie nie sięgało

światło pochodni, po czym stanął tak, by go zasłaniała i... nagle rozdzwonił się jego telefon.

- Uhm, tak, tak - mówił głośno, by go dobrze słyszano. - Poważna sprawa. Naprawdę? Jak tak, to jedziemy. - Włożył komórkę do kieszeni, po czym zwrócił się do gości. - Na drugim końcu wyspy mamy ciężki przypadek. Wymagający dwóch lekarzy. Kochani, przepraszamy, ale wy bawcie się dalej. Wybaczcie... mnie i mojej żonie.

Powszechny śmiech.

- Co takiego się stało? - zawołał ktoś.

- Serce - wyjaśnił Ben. - Z sercem się nie igrza.

- Czyje?

- Tajemnica lekarska. - Podrapał się w głowę. - Jak wam to wyjaśnić? To złożony problem. Dwa serca, którymi trzeba się zająć. Ginny... doktor Koestrel zajmie się jednym, ja drugim.

- Zmyślasz! Chcecie być sami!

- To coś złego? - Sięgnął po rękę Ginny, ale się rozmyślił. Wziął ją na ręce i ruszył przez plażę w stronę parkingu. - To coś złego? - powtórzył. - Ta kobieta jest miłością mojego życia. Jeżeli chcemy być sami, to nie nasza wina. Trzeba żyć, moi mili. Śmiać się, kochać, patrzeć w przyszłość. Nieważne, czy to dobrze, czy źle, to wszystko przed nami.